odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok V. Nr 37 (237)
Łódź, 16. IX. 62.
Cena
1 zł

JULIAN BRYSZ

Pokłosie lata

# URLOP na SKUTERZE

Nie byłem w Paryżu, ani na Krymie. Nie dostarczę czytelnikowi egzotyki z im portu, może tylko trochę swojskiej.

Przejechałem podczas tegorocznego urlopu 2 tysiące kilometrów. Najbardziej oddalonymi od Łodzi punktami wędrówki był pas konwencji tatrzańskiej w Słowacji i nadmorska Łeba.

Ekwipunek: skuter „Peugeot", piąty sezon eksploatacji, maksymalna szybkość szosowa z pełnym obciążeniem — 75 km/godz. Bagażu około 40 kilogramów, w tym namiot, materace, koce, ciepła odzież, ubrania „cywilne". Dwa lata temu nad Bugiem kiedyśmy się rozpakowali, pewna kobiecina zapytała: Czy państwo to ciężarówką przywiozło? Dziś już nikt się nie dziwi, wszyscy turyści motocyklowi podróżują w podobny sposób.

### NA POŁUDNIE

Pierwszego dnia przez Kielce i Busko, z postojem na obiad w samym Pacanowie, docieramy w okolice Tarnowa. Nocleg w stodole, wieczorem zbiorowy przegląd motocykli — dwóch synów gospodarza i mojego. Następnego dnia jest niedziela. Wyruszamy wcześnie, by jeszcze znaleźć otwartą stację benzynową. Nauczeni doświadczeniem, mamy zapasową bańkę na paliwo.

W Nowym Sączu „rozczarowanie" — jest otwarta stacja. Ale to wyjątek, w tym mieście wszystko funkcjonuje na zasadach sławnego eksperymentu. Nie trzeba nawet zatrzymywać motoru, by rzucił się w oczy. Nowy Sącz to dziś bez przesady najschludniejsze miasto w Polsce.

Niedzielne popołudnie w Czorsztynie — koszmarne. Autobusy wyrzucają z siebie coraz to nowe tabuny wycieczkowiczów. Nawet na zamek nie zdążą, bo w gospodzie co najmniej 3 murowane godziny oczekiwania na obiad.

W tymże, dosłownie wdeptanym w ziemię przez wycieczki, Czorsztynie znajdujemy na uboczu, nad samym Dunajcem, zakonspirowane domki campingowe PTT-K. Są miejsca, jest nawet malutka, własna restauracja. Uroczo. Zostajemy trzy dni.

### SŁOWACKIE PORÓWNANIA

Nauczeni całodziennym oczekiwaniem przed rokiem na Łysej Polanie, tym razem przekraczamy granicę w Niedzicy. Jesteśmy przed szlabanem około 9 rano — jako pierwsi. Skuterek wdrapuje się na Spiską Magurę, ale i tak idzie mu to lepiej niż Wartburgowi, który dogonił nas u podnóża wzniesienia. Dobrze, że posłuchaliśmy ostrzeżenia „Przekroju", z drugiej strony wjazd na tę gigantyczną górę byłby jeszcze trudniejszy. W ogóle przez cały czas pobytu w Słowacji korzystaliśmy wyłącznie z opisu trasy zamieszczonego w

Dokończenie na str. 4

EWA OSTROWSKA

*kawiarniany antybaedeker*

# „TAŃCE, HULANKI, SWAWOLA"...

A gdyby tak od tradycji zacząć? — wtedy cała rzecz przedstawi się godnie, solidnie; zaufanie i szacunek wśród czytelników budząc, bo przecie wiadomo, jakim poważaniem cieszy się tradycja w naszym narodzie. Nawet przedmiot tak błahy jak zwykła igła do szycia wykazać się może powinowactwem ze swoją poprzedniczką z epoki kamienia łupanego, więc niby dlaczego kawiarnie, bądź co bądź miejsca kulturalnego wypoczynku, mają być pod względem tradycji poszkodowane? Kawa znana jest w Europie — bądź co bądź — od połowy siedemnastego wieku — ładny kawał czasu! A im czas dłuższy, tym tradycje bogatsze. Można by niejeden traktat sporządzić, jak na przykład: „Od zajazdów szlacheckich do współczesnych lokali, zwanych kawiarniami (w kategorii S)", gdzie tezą byłoby twierdzenie: „sama forma się zmieniała, ale zwyczaje przetrwały", zaś argumentacja wyglądałaby następująco: ot, i teraz też piją miód, wprawdzie nie „staropolski" tylko „kaszubski" i nie na cynowe, albo na srebrne kubki, tylko na lampki, szklanki i butelki w lokalach, onegdaj zwanych zajazdami, obecnie — kawiarniami, się sprzedaje. I dalej: teraz też, jak przed laty, konsument panem naszym jest, prawa wszelkie mając, a życzenie jego za święty przykaz należy uważać, poszanowanie i ugrzecznioną obsługę mu okazując. I jeszcze dalej: Konsument, jak onegdaj, i do bitki i do wypitki skory, a ochoczy. W miejsce srebrnych albo cynowych kub-

Dalszy ciąg na str. 5

KONRAD FREJDLICH

*(List otwarty do Redaktora Naczelnego Nagrań Polskich)*

# OBROTY RZECZY

Aby nie nużyć Państwa zbyt wielką ilością terminów, bez których felieton mój z powodzeniem może się obejść, uchylam rąbka tajemnicy, a ściślej biorąc uchylam przed Państwem drzwi gabinetu Redaktora Naczelnego Polskich Nagrań p. Ryszarda Sieleckiego. Dla ścisłości — rzecz dzieje się w końcu czerwca br. w Warszawie, przy ul. Długiej nr 5, tam też należy zgłaszać swoje zapytania, nagrania jakich poetów i kiedy będziemy mogli poszukiwać na rynku.

Rozmowa nasza nie trwała zbyt długo, nie tylko dlatego, że na redaktora Sieleckiego czekali już ze służbowymi sprawami pracownicy Nagrań Polskich, przerwałem ją sam po piętnastu minutach, kiedy się zorientowałem, że za chwilę może zapaść kłopotliwa cisza. Ów kwadrans okazał się właściwie i tak za długi i często gęsto zapełnialiśmy go dygresjami.

Zgodziliśmy się wtedy przecież, Panie Redaktorze, że w Związku Radzieckim i we Francji ogromną popularnością cieszą się nagrania pełnospektaklowych sztuk, że w innych krajach istnieją specjalne firmy gramofonowe zajmujące się wyłącznie nagraniami żywego słowa. Zresztą i u nas (ściśle: Polskie Nagrania), wypuszczono cykl „Mistrzowie sceny polskiej", dzięki czemu każdy z nas prywatnie, na własny użytek, może sobie dowoli wsłuchiwać się w głos Niny Andrycz, Marii Dulęby, Mieczysławy Ćwiklińskiej, Ludwika Solskiego, Aleksandra Zelwerowicza i innych wybitnych aktorów. I bardzo dobrze, że pomyślano o sylwetkach najwybitniejszych artystów scen polskich recytujących partie sztuk lub wiersze. Niezaprzeczalnie cenny jest i cykl drugi: „Mistrzowie estrady", który prezentuje nam takie nazwiska jak Bielicka, Olsza, Wiech, Zimińska i cały szereg pozostałych, które trudno w tym jednym felietonie wymieniać. Ustaliliśmy wtedy, że i nasze pociechy nie są pozbawione gramofonowych rozkoszy, że bajki dla dzieci czyta Kwiatkowska, Janowska, a „Czerwonego Kapturka" z muzyczną ilustracją nawet sam Jan Brzechwa, znany jako najpopularniejszy twórca literatury dziecięcej.

Mówiliśmy przecież i o poezji. O arcydziełach poezji. Chodziło o teksty Mickiewicza i Słowackiego, znowu w najlepszych wykonaniach. Padały nazwiska: Kreczmar, Leszczyński, Wyrzykowski. I znowu wierzę, że płyty takie zostały nagrane, posługiwał się Pan przecież katalogiem, choć absolutnie ich w sprzedaży nie widziałem.

Wreszcie „zupełnie osobną pozycję stanowią nagrania współczesnej poezji polskiej recytowane przez autorów". Przytaczam słowa pańskie dosłownie.

Już przy arcydziełach poezji uderzyło mnie, że mieliśmy ich w Polsce tak niewiele. Pamiętam, że z okazji pogrzebu Broniewskiego sam Gomułka wymieniał co najmniej 4 (słownie: cztery) nazwiska najwybitniejszych poetów polskich, a przecież to tylko powaga chwili nakazywała nie przekształcać pożegnalnej mowy w krótki kurs literatury. Wymienił tam mianowicie, prócz twórców uznanych przez Polskie Nagrania, Jana Kochanowskiego i Cypriana Norwida. Okazuje się, że mężowie stanu, nawet skrępowani cere-

Dalszy ciąg na str. 6

# JANKESI *na dworze* FRANCO

*Dwaj dziennikarze amerykańscy — Jeremy Main i Godrey Blunden — podzielili się z czytelnikami tygodnika „Time" swymi impresjami z Hiszpanii frankistowskiej. Wprawdzie impresje są tendencyjne, nie mniej jednak i one mówią wiele smutnej prawdy o współczesnej Hiszpanii.*

Już czwarta bomba wybuchła na ulicach Madrytu w ciągu lipca, na stolikach kawiarń, ścianach domów i słupach ulicznych ukazują się w wielu miastach ulotki i odezwy antyrządowe, a w zaułkach robotnicy komentują żywo pierwszy uwieńczony sukcesem strajk.

— Franco skończy się najdalej za 5 do 6 miesięcy — powiedział Jilio Just, wybitny przywódca opozycji, mieszkający na wygnaniu w Paryżu.

— To już początek ostatniego aktu historii reżimu frankistowskiego — wyraził się Jezus Prades Arrarte, znany ekonomista i bankowiec, który zbiegł niedawno z ojczyzny.

W Hiszpanii zaś powszechne zainteresowanie budzi pytanie — kto następny? Najwięcej szans ma przebywający od 31 lat poza krajem Don Juan de Borbon y Battenberg, książę Barcelony i pretendent do tronu. On i monarchiści przekonani są, że Borbon odziedziczy władzę po Franco.

Don Juan nie jest księciem z operetki. Przed [illegible] nie spędza pracowicie. Przyjmuje wizyty, śledzi z zainteresowaniem raporty z Hiszpanii, wertuje gazety, utrzymuje bliski kontakt z Consejo Privado, 43-letnim swym doradcą przebywającym w ojczyźnie, który notab[illegible] opracował projekt ustroju monarchii konstytucyjnej.

Teoretycznie Don Juan może w dowolnej chwili powrócić do Hiszpanii, lecz mimo to wizyty w kraju składa jedynie z racji określonych okazji i to na krótko. Wprawdzie w ustawie konstytucyjnej z 1947 roku ogłoszono Hiszpanię monarchią, lecz dyktator nie okazuje najmniejszej chęci jej urzeczywistnienia.

Ktokolwiek jednak odziedziczy Hiszpanię — zastanie kraj ubożejący i coraz bardziej osamotniony.

Turystyka stanowi główn[illegible] źródło jego dochodu. Toteż mimo nie sprzyjającej wiosny i lata ocenia się, że około 10 milionów turystów odwiedzi Hiszpanię w ciągu sezonu. Oznacza to, że goście z zagranicy zostawią tu przynajmniej 700 milionów dolarów.

Od czasu do czasu dyktator daje wyraz swej ufności w rozwój ekonomiczny kraju, publikując w prasie madryckiej artykuły pod pseudonimem „Hispanicus". Szczególne nadzieje zaś wiąże Caudillo z zastrzykami pieniądza z USA. Napływ gotówki rozpoczął się jeszcze przed wyrażeniem zgody dyktatora na budowę przez Jankesów baz powietrznych i morskich. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Stany Zjednoczone „pompowały" w pomoc wojenną 503 miliony dolarów. Większą jeszcze sumę otrzymała Hiszpania dla zahamowania inflacji.

Mimo to jednak największe państwo na Półwyspie Iberyjskim jest w dalszym ciągu bardzo zacofane. Na skrajach Madrytu np. w dzielnicy Puente de Vallecas, proletariusze zarabiają dziennie 60 centów i mieszkają w śmierdzących norach. W nie lepszym położeniu jest ludność wiejska. Chłopi obciążeni są wyżyłowanymi do ostatnich granic czynszami dzierżawnymi. Dość wspomnieć, że jedna setna ludności posiada połowę ziemi, a 5 milionów włościan ma za jedyne narzędzie pracy — gołe ręce.

Dochód narodowy na głowę ludności jest na szarym końcu państw zachodniej Europy. Hiszpania wyprzedza jedynie Portugalię.

Przemysł i handel Hiszpanii stoi na glinianych nogach, jest przestarzały i jak[illegible]usywnie zmonopolizowany. Najgroźniejszym zaś aspektem są elementy faszyzmu, a więc Sindicatos, które mają za zadanie ustalanie płac i cen, oraz ograniczenie strajków. Wprawdzie zezwolono na kolektywne działanie związków zawodowych, lecz nacisk aparatu państwa i pracodawców nie dopuścił robotników do najmniejszych form autonomii.

Asturia jest zaniedbanym górskim regionem. Górnicy tutejsi to dzielni, wytrwali ludzie, pracujący przestarzałym sprzętem. Wydobywa się tu węgiel niskiej jakości i trudny do urobku. Przeciętna wydajność w ciągu 8 godzin wynosi 600 kg, to jest 1/20 produktywności górnika amerykańskiego.

Powodem strajku w Asturii było nie spełnione żądanie podwyżki stawki dla niewykwalifikowanych robotników z 60 pesetów (1 dolar) do 150 pesetów (2,5 dolara). Strajk rozpoczął się rano. W kopalni Mieres, 7 picadores (rębaczy) odmówiło podjęcia pracy. Błyskawicznie cała załoga kopalni przyłączyła się, a w ciągu kilku dni zastrajkowało 60 tysięcy górników w zagłębiu.

Strajk przebiegał spokojnie. Małe miasteczka zagłębia przybrały wygląd niedzielny — ulicami spacerowali górnicy wraz z rodzinami lub zbierali się w kolejkach na lampkę cydru lub czerwonego wina „Lean" przegryzając nieprzynymi kiełbaskami — „Chorizos". Przysłuchiwano się audycjom nadawanym przez Radio Espana Independiente z Pragi. Ponieważ prasa i radio frankistowskie milczały, jedynie Praga była źródłem informacji o rozszerzających się strajkach w innych częściach Hiszpanii. Wkrótce do strajku przystąpili dokerzy i metalowcy z Bilbao i Barcelony. Ponad 100 tysięcy Hiszpanów z innych terenów rzuciło pracę na znak sympatii z 60 tysiącami strajkujących górników Asturii.

Dla reżimu była to od wojny najgroźniejsza manifestacja polityczna. Rząd jednak zareagował sprytnie. Tygodniami nie przedsięwzięto kontrakcji. Dopiero później ogłoszono stan wyjątkowy w trzech najbardziej dotkniętych strajkiem prowincjach i wysłano 4 tysiące milicji dla wzmocnienia miejscowych posterunków. Stróże porządku unikali jednak zadrażnień. Dla uniknięcia kompromitacji Franco wysłał do Asturii znanego Sindicatos, Jose Solis Ruiza. Miał on uspokoić strajkujących. Przez dwa tygodnie Ruiz próbował nakłonić górników do podjęcia pracy przemówieniami i konferencjami, lecz dopiero zaspokojenie żądań złamało upór.

Rząd „obciążył" strajkiem „zagraniczne wpływy" liberałów i komunistów. Doradca Don Juana, działacz katolicki, Florentino Perez Embid, wyraził opinię: „Przed pięciu laty nie do pomyślenia były strajki. Złamano by je wówczas natychmiast, a obecnie rząd musi prowadzić rokowania z przywódcami robotników, chociaż nie są oni członkami oficjalnego związku zawodowego".

Asturyjski strajk odkrył jeszcze jedno ciekawe zjawisko — wzrastające poparcie kościoła dla robotników, chociaż kler hiszpański, znany jest ze swej reakcyjnej postawy i tradycyjnej przyjaźni dla dyktatora. Policja stwierdziła, że duchowni należący do HOAC (Bractwa Robotnicze Akcji Katolickiej) zachęcają robotników do walki o swe prawa. HOAC wprawdzie zaprzecza, że brało udział w strajkach, lecz otwarcie przyznaje: „Współpracowaliśmy z tysiącami ludzi, lecz oni byli przywódcami". HOAC ma sieć placówek w większych miastach. Stanowi też ono oparcie kościoła w razie upadku reżimu Franco.

Przez wiele lat liczni przedstawiciele kleru ograniczali się do filozofii dyktatora. Biskup Angel Herrera z Malagi piętnował przed przeszło dziesięcioma laty z ambony nierówności społeczne w kraju, a w 1960 roku 352 księży baskijskich podpisało list piętnujący ograniczanie podstawowych swobód, w ubiegłym zaś roku wielu arcybiskupów nalegało na El Caudillo, by złagodził cenzurę publikacji. Purytański i konserwatywny prymas, kardynał Enrique Pla y Deniel, arcybiskup Toledo, wystąpił gorąco w obronie HOAC, gdy dyktator poterał „egzaltowanych księży" zakłócających spokój w Asturii. I choć Pla y Deniel zgodził się na ukaranie błądzących owieczek, lecz nie potępił osobiście ich działalności.

Wzrastającym w siłę ramieniem kościoła jest Opus Dei, na wpół tajna organizacja, której członkowie zaprzysięgają posłuszeństwo, czystość i ubóstwo. Organizacja nie ma ustalonych celów politycznych z wyjątkiem utrzymywania wpływów kościoła w rządzie. Opus Dei nie jest wprawdzie zapamiętałym sprzymierzeńcem reżimu, lecz trzej jego przedstawiciele wchodzą w skład gabinetu, jak np. minister handlu Ullastres. Reprezentują oni ostry konserwatyzm w polityce i daleko idący liberalizm w ekonomice.

Prestiż i władzę opiera Franco głównie na najsilniejszej grupie w Hiszpanii — armii. Największym przyjacielem i sprzymierzeńcem Caudillo jest szef sztabu głównego, generał Augustin Munoz Grandes, który dowodził Błękitną Dywizją na rosyjskim froncie w 1941 roku, a teraz trzyma w żelaznym uścisku 400 tysięcy wojska.

W kraju, w którym rzadko rozważa się „konflikt interesów", zarządy wielkich banków hiszpańskich składają się również z pułkowników i generałów. Tym samym kluczowe sektory gospodarki znajdują się pod wpływem wojska. I mimo pewnych tendencji liberalnych kościoła, stabilizacja jego opiera się na armii, która nadaje świętym wysokie szarże i oddaje honory wojskowe relikwiom.

Politycznie Hiszpania rozbita jest na szereg ugrupowań, które trudno nazwać nawet partiami. Działają one bowiem w próżni, nie utrzymując kontaktu z ludem hiszpańskim. A ponadto cierpią na wybujały indywidualizm.

Na prawym skrzydle rej wodzi kilkuset studentów, którym nawet Franco zarzucił faszyzm. Grupa ta zwie się Młodą Europą. Bliskie jej duchowi są resztki Falangi, niegdyś faszystowskiej partii, której Franco użył dla zdobycia władzy. Dziś, falangiści są nastawieni oportunistycznie, rozbici i słabi. Na przeciwnym krańcu, skrajnie lewym, jest Front Wyzwolenia Ludowego, którego marksistowski przywódca uwieziony został w 1959 roku. Centrum reprezentuje chrześcijańska demokracja pod wodzą Jose Marii Gil Roblesa, znanego adwokata madryckiego i liberała z przywódcą Dionisio Ridruejo, ongi falangistą, a następnie długoletnim opozycjonistą. Obydwaj ci politycy brali udział w konferencji monachijskiej, która odbyła się w czerwcu br. i reprezentowali wówczas koncepcję stanów zjednoczonych Europy.

Na konferencję tę przybyło z Gilem Roblesem i Ridruejo 80 polityków różnych ugrupowań z Hiszpanii i 36 wybitnych osobistości żyjących na wygnaniu. Między innymi filozof Salavador de Madariaga, najwybitniejszy minister i dyplomata z okresu republikańskiego, profesor honoris causa uniwersytetu oxfordzkiego. Spotkali się zaciekli rywale różniący się zdaniami na temat przyszłej polityki kraju. Madariaga wystąpił z rezolucją określającą aktualny stan Hiszpanii:

*„Zachodnia myśl polityczna ma dwie tradycje: sokratesowską, która wyznaje wolność ducha i chrześcijańską żądającą szacunku dla istoty ludzkiej. 118 delegatów hiszpańskich przybyło tu, aby powiedzieć, że Europa nie może przyjąć do swej wspólnoty państwa, w którym Sokrates codziennie ulega zatruciu, a Chrystus ukrzyżowaniu. 118 delegatów przybyło z wyciągniętymi rękoma do Europy. Europa winna otworzyć swe ramiona i przyjąć ich do siebie. Hiszpania chce należeć do Europy, lecz Hiszpanie muszą uprzednio mieć swe państwo".*

Konferencja monachijska wprawiła w furię Franco i jego zauszników. „Zdrada i głupota sprzymierzone w brudnym sojuszu przeciw Hiszpanii" głosił organ rządowy „Arriba".

Na powracającego samolotem z Monachium Gila Roblesa oczekiwała na lotnisku madryckim Braja, policja. Postawiono mu do wyboru zamieszkanie na Wyspach Kanaryjskich, względnie wygnanie. Robles natychmiast zakupił bilet na samolot udający się do Paryża.

# ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

## prof. dr. NATALIĄ HAN-ILGIEWICZ

### „ZASŁUŻONYM NAUCZYCIELEM" Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej w Warszawie

**O:**

- **MŁODZIEŻY SPOŁECZNIE NIE PRZYSTOSOWANEJ**
- **PEDAGOGIZACJI RODZIN**
- **ŹRÓDŁACH „BUNTU" MŁODYCH**
- **ZADANIACH PORADNICTWA SPECJALNEGO**

**— Co Pani Profesor, jako nie łodzianka, sądzi o Łodzi?**

— O, przepraszam, z Łodzią związana jestem od 17 lat bardzo silnie uczuciowo i naukowo i uważam się za naturalizowaną łodziankę. Tu byłam adiunktem Katedry Psychologii Eksperymentalnej na Uniwersytecie Łódzkim, tu mieszkam stale po przyjeździe z Wilna, znajdując ciekawy materiał do mych poczynań naukowych. Obecnie, od wielu lat współpracuję z Łódzkim Towarzystwem Naukowym (wykłady w ŁDK). Od 2 lat wchodzę w skład Prezydium Rady do Spraw Wychowania Dzieci i Młodzieży FJN w Łodzi. Proszę pamiętać że właśnie Łódź jest kolebką pedagogiki specjalnej i kiedy jeszcze w stolicy nie było Instytutu, ani innych placówek zajmujących się tą dziedziną wiedzy w Łodzi przed rokiem 1922 istniały szkoły specjalne dla młodzieży upośledzonej umysłowo oraz poradnie wychowawcze.

**— Czy dlatego, że właśnie tu była wyjątkowa tego potrzeba?**

— Nie tylko. Przede wszystkim dlatego, że Łódź zawsze była bardzo wrażliwa na potrzeby społeczne.

**— Słyszeliśmy, że od nowego roku akademickiego podejmuje Pani współpracę z Wydziałem Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego?**

— Tak. Zwrócono się do mnie w tej sprawie.

**— Co się zmieniło w pedagogice specjalnej od czasów pionierskiej działalności Łodzi w tej dziedzinie?**

— Bardzo dużo. Powszechne było kiedyś przekonanie, że dzieci upośledzone umysłowo nie rozwijają się. Dziś zagadnienie rewalidacji jest na warsztacie badań zarówno w naukowej kadrze jak i w poradniach społecznych. Istnieje przy tym ścisły kontakt nauki z praktyką, przede wszystkim dzięki temu, że pedagogika specjalna trafiła na wyższe uczelnie, znajdując tym samym warunki do podejmowania badań doświadczalnych o charakterze naukowym. Badania te, rzecz jasna, służą w pierwszym rzędzie społeczeństwu.

**— Jakie problemy objęła Pani Profesor w swej długiej, bo bez mała półwiekowej, pracy naukowej?**

— Interesowała mnie i interesuje pedagogika rewalidacyjna w stosunku do młodzieży społecznie nie przystosowanej i do trudności wychowawczych wszelkiego typu.

**— Obserwuje się po wojnie stały wzrost ilościowy tej młodzieży społecznie nie przystosowanej...**

— Nie zgadzam się z tak powierzchownie postawionym zagadnieniem. Tego rodzaju opinia powstaje tam, gdzie zwraca się uwagę na jaskrawe przypadki, nie biorąc pod uwagę szerokiego, zdrowego zaplecza. Ten sposób opiniowania nie ma nic wspólnego z nauką i jest raczej szkodliwą antyspołeczną egzaltacją.

**— Jakie jest podłoże obecnych trudności wychowawczych?**

— Zbyt dużo społecznie nie przystosowanych rodzin. Z jednej strony rodziny te chciałyby dla siebie jak najwięcej zagarnąć korzyści, nie dając nic w zamian, z drugiej brak warunków ku temu. Myślę tu o warunkach takich, jak kwalifikacje zawodowe tych rodzin, ich poziom umysłowy, stopień uspołecznienia itp.

W rodzinach tych rodzi się więc krytyka dzisiejszego życia, gaszenie entuzjazmu młodych i usiłowanie powrotu do dawnych sprymityzowanych warunków bytu (wódka!). Dlatego pedagogizacja rodzin, a nie tylko rodziców, jest szczególnie ważnym zagadnieniem w pedagogice specjalnej.

**— Uważa więc Pani Profesor pedagogizację rodziców za niewystarczającą dla opanowania problemu młodzieży społecznie nie przystosowanej?**

— Pedagogizacja rodziców jest wycinkiem zagadnienia, nie można więc ograniczać się do działania tylko w tak wąskim kręgu, ale brać jako obiekt naukowych i praktycznych oddziaływań całą rodzinę, jako ściśle integralną grupę społeczną bardzo na siebie wzajemnie oddziałującą. Muszę w tym miejscu powiedzieć, że nawet ja, która tyle lat strawiłam na badaniu tych problemów, stale odkrywam nowe zjawiska. Jeszcze nie tak dawno np. byłam, tak jak i spora część moich kolegów, przeciwniczką telewizora, a teraz widzę, że jest on jednym z czynników wzmacniających więź rodzinną. Na temat ten piszę w mojej ostatniej pracy o problemach pedagogizacji rodziny.

**— Kiedy po raz pierwszy zetknęła się Pani z problemami młodzieży społecznie nie przystosowanej?**

— 40 lat temu na jeziorze Bajkał, kiedy to latem prowadziłam tam grupę nieletnich przestępców, zamieszkujących stary wrak statku na tym jeziorze. W krótkim czasie potem poznałam dr J. Korczaka i to zadecydowało bardzo wyraźnie o całej mojej przyszłości pedagogicznej i naukowej.

**— Współpracowała Pani z dr Korczakiem?**

— Tak. W 1924 roku ukończyłam studia w Instytucie Pedagogii Specjalnej, gdzie wykładał wybitny pedagog, a w dwa lata potem zostałam pracowniczką tego Instytutu. Po dziś dzień też Korczak, obok prof. M. Grzegorzewskiej jest dla mnie autorytetem w tej specjalności.

**— O Korczaku dużo się pisało i czytało. Czy ma Pani Profesor jakieś własne wspomnienie związane z tym wybitnym człowiekiem?**

— Janusz Korczak nigdy nie szukał popularności i mawiał, że „szukanie jej jest wystawianiem weksli, co do których nie ma się pewności, czy się je wykupi". Zawsze przy tym wierzył w moralę dziecka, stawiał na charakter młodzieży i usiłował wyzwolić inicjatywę społeczną dzieci i młodzieży, przygotować je do życia.

**— Jakie są, Pani zdaniem, najważniejsze zadania polskiej pedagogiki specjalnej?**

— Zrezygnowanie z oaz wychowawczych na rzecz pedagogizacji całego społeczeństwa.

**— Jakimi formami?**

— Przez publikacje, odczyty, radio i prasę, oraz przez dobrze prowadzone poradnictwo. Jak najmniej dużych oficjalnych poradni, a jak najwięcej kontaktów młodzieży rodzin całych z psychologami specjalistami w zakresie pedagogiki specjalnej.

**— Co jest zarzewiem „buntu" dzisiejszej młodzieży?**

— Postępowanie starszych oraz problem skróconego dzieciństwa. Warto też podkreślić, że młodzież bardzo rzadko kiedy powołuje się na te warunki, jest wyjątkowo dyskretna w ujawnianiu przykrych stron życia rodzinnego, wstydzi się dyskredytować swoich bliskich. W przeciwieństwie, niestety, do własnych rodziców, którzy bardzo często, nie mając nawet dowodów winy dziecka, odsądzają je publicznie od czci i wiary.

Pragnęłabym, aby prawda o tragicznych skutkach takiego postępowania z młodzieżą, jak najszybciej dotarła do całego społeczeństwa.

**Rozm. K. WYRZYKOWSKA**

*Tytuł najpopularniejszej aktorki francuskiej zdobyła w tym roku ANNIE GIRARDOT, którą oglądaliśmy w filmie „Francuzka i miłość"*

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

# „Mój stary"

*Problematyka dotycząca dzieci, ich psychiki, nie jest łatwą dziedziną twórczości filmowej. Janusz Nasfeter w „MAŁYCH DRAMATACH" i w „KOLOROWYCH POŃCZOCHACH" szczęśliwie znalazł klucz do ukazania na ekranie skomplikowanych problemów świata dziecięcego. Tym kluczem była szczegółowa i rzetelna analiza psychologiczna postaci, ich realność, unikanie łatwizny, ogranej „gwiazdorskiej" cudowności filmowego dziecka-samograja, którego sama buzia na ekranie wywołuje zainteresowanie widzów. Dzieci w filmach Nasfetera są brutalne i delikatne, krzykliwe i zastraszone — są chyba najbardziej zbliżonymi obrazami dzieci na co dzień.*

*Na ekrany wszedł nowy film Nasfetera — „MOJ STARY", w którym reżyser kontynuuje tematykę swych poprzednich filmów. Kontynuuje jednak nie bardzo konsekwentnie. W jego nowym filmie są także dzieci — jest ich prawie tak samo dużo jak w poprzednich. Tym jednak razem jako głównego bohatera nie stawia Nasfeter tylko dziecka, ale także dorosłego człowieka. Dziecko, w tym przypadku mały Paweł, schodzi w końcowym efekcie na dalszy plan, a wyeksponowana zostaje sprawa człowieka dojrzałego, który powróciwszy z zagranicy próbuje urządzić swoje życie i swoich najbliższych na wzorzec dawno w naszych warunkach społecznych odrzucony do lamusa. Mały Paweł widzi nierealność i groteskowość postępowania swojego „Starego". Bunt chłopca następuje tym bardziej, że obraz ojca wyimaginowany podczas jego nieobecności, jest biegunowo odległy od rzeczywistości. I oto kiedy zaczyna się konflikt psychologiczny dziecka uwagę widza reżyser przenosi na sprawy dotyczące świata dorosłych, na sprawy nieporadności fizycznej i życiowej ojca i jego śmiesznej próby robienia w Polsce businessu. Uwaga widza tym bardziej zaczyna koncentrować się na dorosłym bohaterze, którego gra popularny Adolf Dymsza. Samo ukazanie się Dymszy na ekranie wywołuje, chyba nie zamierzony przez twórców filmu i aktora, śmiech widzów. Nie wina to świetnego aktora, którego specjalnością były przede wszystkim role komediowe, że z takich ról zna go publiczność i w takich rolach najczęściej go chce widzieć. Obsadzenie roli ojca Adolfem Dymszą jest chyba jednym z głównych minusów tego filmu.*

*To wszystko, rzecz oczywista, nie dyskwalifikuje filmu, w którym reżyser wykazał bardzo dobrą znajomość warsztatu reżyserskiego, świetną umiejętność poprowadzenia dzieci przed kamerą. Filmu, który ma znakomite zdjęcia Jerzego Wójcika (autora zdjęć do („Matki Joanny od Aniołów") i dobre kreacje aktorskie dorosłych, a przede wszystkim kreacje małych aktorów: Tadeusza Wiśniewskiego, Aleksandra Kornela, Grzegorza Romana („Wyrok") grających prawie we wszystkich dotychczasowych filmach Janusza Nasfetera.*

# „ABY KWITŁO ŻYCIE"

**Wytwórnia Filmowa Wojska Polskiego „Czołówka" utworzona parę lat temu debiutuje w tegorocznych Dniach Filmu Polskiego dwoma bardzo potrzebnymi filmami dokumentalnymi. O jednym z nich ukazującym odradzanie się militaryzmu niemieckiego a zatytułowanym „Dokąd idziecie?" pisaliśmy z okazji przyznania temu filmowi „Brązowego Smoka" na tegorocznym II Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie.**

**„ABY KWITŁO ŻYCIE" jest dokumentem o Wojsku Polskim; filmem celowym ze względu na potrzeby pokazania społeczeństwu sprawności obronnej naszej armii i związanych z tym, koniecznych w obecnej sytuacji politycznej wydatków. Realizatorzy filmu, znana para polskich dokumentalistów — Jerzy Hoffman i Edward Skórzewski — postanowili pokazać w pełnometrażowym filmie wszystkie przesłanki polityczne dotyczące klęski wrześniowej, okupacji hitlerowskiej i odradzania się nowej, ludowej armii. W swej dokładności relacjonowania wydarzeń i faktów historycznych starali się niczego nie pominąć. Stąd obok stosunkowo dużej wartości historycznej i dokumentalnej wzięła się również słabość ich filmu, a mianowicie zbyt szeroki zakres poruszonych tematów. Ginie w tym labiryncie historycznych retrospekcji główna idea filmu — ukazanie współczesnego Wojska Polskiego, otaczanego troską i opieką całego narodu.**

**Ilość poruszonych problemów politycznych odbija się na narracji filmowej i jej tempie. Niemniej jednak „Aby kwitło życie" jest filmem potrzebnym, słusznie akcentującym decydującą rolę ruchu robotniczego i lewicowego w kraju i w Związku Radzieckim, w walce z okupantem oraz w tworzeniu odrodzonego Wojska Polskiego. Twórcy filmu, unikając ogólników i sloganów, swoim filmem przekonują widzów. To jest też chyba podstawowym walorem filmu Hoffmana i Skórzewskiego, dobrze zmontowanego, ze znakomitymi zdjęciami Stanisława Niedbalskiego i Andrzeja Galińskiego.**

ALINA GRABOWSKA

# POŻAR w WFF

Wytwórnia opustoszała. Bar zamknięty, na schodach i korytarzach nie widać już ucharakteryzowanych aktorów, ucichły stuki, które od kilku lat towarzyszą produkcji wszystkich filmów kręconych w łódzkiej WFF — hałas wywołany przez robotników budujących hale zdjęciowe, laboratoria i warsztaty. Jest późny wieczór.

Tego wieczoru w Wytwórni wywołano pożar.

To jest może źle powiedziane. Trzeba raczej napisać: „zorganizowano" pożar. Pożar kopalni.

Wiele jest spraw, o których mówi się w związku z filmem. We wrześniu, który jest tradycyjnym miesiącem Filmu Polskiego, będzie się mówiło i pisało o aktorach i o reżyserach. Oni są głównymi bohaterami, ich to serdecznie powita publiczność podczas spotkań i uroczystych premier. O nich wiemy — co mówią i co robią, jakie mają „hobby" i co jedzą na śniadanie. Ich zdjęcia dekorują frontony kin i małe lusterka, sprzedawane w kioskach „Ruchu". O nich mówi się po wyjściu z kina.

A kto mówił kiedykolwiek o ludziach, którzy wybudowali małą, dwumetrową wieżę do filmu „Ewa chce spać" i tak ją umiejętnie sfotografowali, że sprawiała wrażenie wielkiej, „normalnej" wieży? Albo tych, którzy wmontowali setki ślepych naboi, żeby stworzyć pełne grozy sceny wojny w „Poczcie gdańskiej", w „Drukim brzegu", w „Lotnej"? A o tych, którzy przy 14 stopniowym mrozie wnosili na oblodzoną górę drzewo, gwoździe, żelazo aby stworzyć charakterystyczną cerkiewkę w „Ogniomistrzu Kalenlu"? O tych, którzy wytłoczyli z folii plastycznej setki zbroi dla „Krzyżaków" — o charakteryzatorach, kostiumologach, technikach, elektrykach, modelarzach, o gromadzie pracowników Wytwórni bez których n i e b y ł o b y tych wszystkich filmów...

Więc — skoro „Dni Filmu Polskiego" — to chyba i ich „Dni"... Oto właśnie „pożar kopalni". Za parę miesięcy pójdziemy do kina, ściemnią się światła, zobaczymy tytuł: CZARNE SKRZYDŁA. Według KADENA-BANDROWSKIEGO, reżyserowali EWA i CZESŁAW PETELSCY.

Twórcy „Bazy ludzi umarłych", „Ogniomistrza Kalenia" czy „Kamiennego nieba", i tym razem sięgnęli po temat trudny, zaangażowany, problem drastyczny. Stosunki wewnątrz klasy kapitalistów w latach 20, powiązania z międzynarodową finansjerą, stronnictwa polityczne, stosunki wewnątrz klasy robotniczej, obyczajowość tego okresu, znalazły wierne odbicie na kartach powieści. Zaś powieść oparta została o autentyczne wydarzenia, które odbyły się w jednej ze śląskich kopalni w r. 1923 — gdzie właśnie zdarzył się ów sabotaż, strajk i pożar.

W ten sposób wróciliśmy do pożaru.

No, ale żeby był pożar kopalni — to najpierw musi być sama kopalnia. Oczywiście, już wielokrotnie dla potrzeb filmu budowano fragmenty „ściany", chodnika czy wyrębowiska. Ale gdyby ktoś parę tygodni temu zajrzał na IV halę WFF — zdziwiłby się niepomiernie. W łódzkiej hali zdjęciowej wybudowano bowiem... śląską kopalnię. Tak — „normalną" kopalnię, gdzie pracowali ludzie, konie woziły wagoniki, woda ciekła po ścianach, stemplowano chodniki i Wojciech Siemion świdrował bryłę węgla. Nie była to prosta sprawa. Najpierw scenograf filmu, Adam Nowakowski obejrzał wiele kopalni, konferował ze starymi górnikami i mieszkańcami okolicy. W ten sposób „zdobyto" charakterystyczne ubiory i rekwizyty z lat 20. Np. udało się znaleźć jeden stary hełm górniczy i na tej podstawie rzeźbiarz wykonał resztę potrzebnych hełmów. Następnie górnicy kopalni „Pokój" odstrzelili specjalną bryłę węgla, którą przywieziono do Łodzi. W sumie na „budowę" poszło ponad 15 ton „czarnych diamentów". Po licznych konsultacjach przystąpiono do budowy. Użyto w tym celu trzech materiałów: autentycznego węgla, do scen wiercenia, specjalnego węgla łączonego gipsem i folii plastycznej wytłaczanej na wzór ścian węglowych. Dach „kopalni" zawieszono na pomostach. W ściany wmontowano kilkadziesiąt rurek, z których ciekła woda. Konia z rzędem temu, kto teraz odróżni sceny kręcone w atelier od ujęć robionych w prawdziwej kopalni!

No tak — ale co z pożarem? Dyrekcje kopalń na Śląsku nie mogły się zgodzić na „pożar" — bo przecież to mogłoby zagrażać niebezpieczeństwem, żywioł, jak wiadomo, trudno opanować. A tymczasem, według scenariusza pożar musi wybuchnąć, i to jeszcze w bardzo „dramatyczny" sposób...

Wobec tego — postanowiono spalić... makietę. Przygotowano ją w skali 1:20, wykonano szyb z żelaza, drzewa, dykty i tektury, i ustawiono pod ścianą na terenie WFF. Szyb jest skonstruowany tak, że tworzy jakby „komin". W tym „kominie" umieszcza się specjalną galaretowatą masę benzynową, która posiada tę właściwość że płonie, ale się nie rozlewa. Sam „komin" wyłożono niepalnym gipsem — po czym pirotechnicy pewnego wieczoru podpalili całość a czarny, efektowny dym ze świec dymnych dopełnił reszty. Dla informacji dodam, że na „pożar" jednego dużego szybu potrzeba ok. 200 l benzyny i że wspomniana galaretowata masa jest zupełnie nowym wynalazkiem, dotychczas jeszcze nie stosowanym.

— Czy film „Czarne skrzydła" nastręczał wyjątkowe trudności pracownikom WFF? — pytam p. Nowakowskiego.

— Nie, przecież przy każdym filmie zawsze wyłania się jakiś problem natury techniczno - organizacyjnej. Czasem jest to sprawa wyposażenia wnętrza, jeśli trudno o dokumentację. Trzeba wtedy szukać i szperać — np. w jednym z łódzkich banków wynalazłem autentyczne lampy z lat 20, gdzieś na Śląsku na rynku za 5 zł kupiłem oryginalny kafel do pieca, który następnie „rozmnożył" się w pracowni. Od starych górników wypożyczyłem lampki, oskardy, łopaty.

— Z jakich materiałów buduje się dekoracje filmowe?

— Głównie z drzewa, juty i papieru. Np. piękna podłoga w sali konferencyjnej wykonana jest z juty wyklejonej papierem, na tym przy pomocy szablonu maluje się wzór i całość pociąga się szkłem wodnym. Wielkim osiągnięciem ostatnich lat jest folia plastyczna. Z niej tworzymy fragmenty ścian, ornamenty, piece, zbroje (np. przy „Krzyżakach").

— Co się dzieje z dekoracjami po zakończeniu zdjęć?

— Specjalna komisja decyduje, czy wobec ciasnoty panującej w WFF można je zachować — czy też przeznaczyć na odpady. Na ogół wykorzystuję w każdym filmie ok. 1/3 starych dekoracji — np. drzwi, okna, ściany. W „Czarnych skrzydłach" w jednym z pokoi stoi rzeźba górnika. Otóż tę rzeźbę obstalowałem 10 lat temu jako pomnik... hutnika do „Przygody na Marienszacie". Obecnie rzeźbiarz „założył" hutnikowi koszulę, hełm, dał do ręki oskard — i z hutnika zrobił się górnik. Być może, za parę lat ktoś wykorzysta tę samą rzeźbę do filmu o marynarzach...

...Tymczasem w WFF minęła kolejna noc zdjęciowa. Jest piąta rano. Z Wytwórni wychodzą ludzie, którzy „wywołali" pożar. Kopalnia spłonęła, w odpowiednim momencie dramatyczne sceny pożaru zanotowała taśma filmowa. Za parę minut pojawią się charakteryzatorzy i garderobiane, aktorzy wejdą na plan. Rozpocznie się normalny dzień pracy.

*Kazimierz Opaliński i Czesław Wollejko w scenie z filmu „Czarne skrzydła"*

*Camping pod szczytem Łomnicy*

# URLOP NA SKUTERZE

## Dalszy ciąg

ze str. 1

„Przekroju". Przewodnik, wydany tuż przed naszym wyjazdem, zobaczyliśmy po raz pierwszy w kiosku „Ruchu" w Łebie. Było go tam kilkadziesiąt egzemplarzy. W Czorsztynie zniknął w pół godziny.

Jeszcze w strojach motocyklistów, wspinamy się do Jaskini Bielańskiej nad Tatrzańską Kotliną. Ponad godzina zwiedzania, niezapomniane przeżycie. Odkryta w ostatnich latach ubiegłego stulecia, po roku miała już wytyczoną trasę dla wycieczek i na całej trasie elektryczne oświetlenie. Wspinamy się i schodzimy kilkukilometrowym spacerem, cały czas po betonowych schodach. Zresztą ani światło, ani schody nie odbierają jaskini jej surowego piękna.

Instalujemy się na campingu w pobliżu Tatrzańskiej Łomnicy. Stoi tu, bez przesady, co najmniej 2 tysiące namiotów. Przy każdym samochód, rzadziej motor. Prawie sami Czesi, w promieniu kilkudziesięciu metrów my jedyni reprezentujemy ojczyznę. Może dlatego jest tak cicho i spokojnie.

Jeszcze 3 lata temu, kiedy byliśmy tu po raz pierwszy, w Czechosłowacji, mało kto znał pojęcie „turystyka". Dziś jest najpopularniejszym rodzajem wypoczynku. Przyczyniło się do tego umasowienie motoryzacji i produkcji sprzętu turystycznego. Oglądałem bodaj ze 20 typów namiotów, wspaniałe kuchenki, śpiwory. Wszystko to stosunkowo tanie, bez owego podatku od luksusu, za jaki do dziś turystyka jest uważana u nas.

Olbrzymi teren campingu jest oświetlony, ma wspaniałe urządzenia sanitarne, można nawet wziąć prysznic i ogolić się maszynką elektryczną (specjalne gniazdka na słupach). Co kilkanaście metrów wkopane w ziemię stoły i ławki, gęsto rozstawione kosze na śmieci. Komentował nie będę, nie będę też pytał, czy ktoś z czytelników spotkał podobny camping w kraju.

### DUŻE ROZCZAROWANIE

Żeby mi się ta Słowacja za bardzo nie podobała, pomógł skuterek. Urwał się uchwyt linki i trzeba było lutować. Pojechałem do jedynej w okolicy stacji obsługi samochodów w Smokowcu. Zjawiłem się tam ra niutko, jeszcze przed otwarciem. Przyszli mechanicy, z rozmontowaną do lutowania linką czekałem półtorej godziny, zanim „hlavny" zdecydował się do mnie podejść, choć nikogo więcej nie było. Po upływie następnej godziny przysłał mechanika, ten przytknął kolbę i gotowe. Dialog końcowy:

— Pisz mu za godzinę roboty — mówi „hlavny" do księgowej. Księgowa wypisuje rachunek na 14 koron 90 halerzy.

— Roboty było na pięć minut, u nas w Polsce to kosztuje 5 złotych — mówię.

— Pisz mu za pół godziny — powiada hlavny.

— Nie zapłacę więcej, niż 5 koron. Targ w targ, stanęło na 5 koronach

### NA ODLUDZIU

Zostawiamy skuter z bagażami u uprzejmych ludzi i wędrujemy w góry — do Kieżmarskiej Chaty w sercu Tatr Bielskich. Na dole przepełnienie, tu mnóstwo wolnych miejsc, komfort, śpi się pod puchowymi kołdrami. Czesi na ogół nie kwapią się na dłuższe wędrówki górskie, znacznie więcej w Tatrach Słowackich spotyka się Polaków, ale i oni omijają niesłusznie piękne Tatry Bielskie. Po całodziennej wędrówce granią tego łańcucha gór wracamy do Tatrzańskiej Łomnicy.

### HANDLOWA DOLINA

W dalszą drogę przez Poprad do Rużomberoku wyruszamy w niedzielę. Mijamy uśpione, schludne miasteczka. Czuwają tylko stacje benzynowe, dosłownie co kilka kilometrów. Obsługa bardzo grzeczna, nie trzeba szukać bańki, lejka, mieszać, to wszystko zrobią za ciebie. Wystarczy zamknąć bak i zapłacić.

Nocowaliśmy w Rużomberoku. Nazajutrz rano nie poznaliśmy miasteczka — tłok na ulicach, sklepy pękają od ludzi. Dotychczas podczas całej wędrówki nie spotkaliśmy tylu Polaków, co tutaj, pod magicznym szyldem „Obuv".

Tu właśnie, do orawskich miasteczek, przeniosło się obecnie centrum handlowej doliny, w Łomnicy i Smokowcu panuje względny spokój. Zauważyłem, że Polacy zachowują się w sklepach z zasady bardzo niegrzecznie, a ekspedientki odpłacają tym samym. Kiedy kupowałem pionierki (oczywiście w Smokowcu), specjalnie uprzejmie poprosiłem o mój numer. Dostałem natychmiast, chociaż kilku osobom przede mną tego właśnie numeru odmówiono.

W handlarskim przeliczeniu korona równa się 10 złotym. Oto prosty rachunek: sprzedaje się w Słowacji papierosy, licząc koronę za złotówkę, po czym kupuje się kredki do brwi po koronie i sprzedaje w komisie po 10 złotych.

Nic dziwnego, że później na punkcie granicznym w Chyżnem musieliśmy czekać 3 godziny, aż celnicy zrewidowali dokładnie jeden tylko autokar i wszystkich uczestników owej „handlówki". Celnicy mają dobre oko i błyskawicznie odróżniają turystę od „kupca".

### SZLAKIEM KOLOROWYCH RESTAURACJI

Gdzieś za Wadowicami mignął nam szyld „Restauracja wiejska". W schludnym lokalu, gdzie ludowe wycinanki na oknach mieszały się z „pikasami" na ścianach, zjedliśmy świetny obiad z deserem, płacąc po 10 złotych. Ta metamorfoza obskurnej kiedyś zapewne gospody ludowej, nie była wyjątkiem. Na całym szlaku wędrówki nie spotkaliśmy ani jednej zapuszczonej knajpy, w Pile, Lęborku, czy Kościerzynie jadło się niemal, jak w kategorii „S". Ambicją tzw. zapadłej prowincji stało się mieć eleganckie lokale. Te przemiany nie zawsze idą w parze z ogólnym wyglądem całej miejscowości, ale pierwszy, wyraźny krok został już zrobiony.

Na szosach pojawiły się reklamy przydrożnych barów i restauracji. Zresztą znakowanie dróg również dowodzi jakiejś troski miejscowej władzy o przejezdnego. Powtarzają się tablice: „Uwaga, ostry zakręt", pieczołowicie oznacza się objazdy.

Rozczuliła nas wręcz tablica przed wjazdem do jakiejś miejscowości w okolicach Szczecinka: „Zwolnij, piękny widok". Widok rzeczywiście był śliczny, położone w głębokiej kotlinie miasteczko nad jeziorem.

Przy okazji inne zauważone curiosa. Oto drogowskaz: „Obora 2 km", a tuż za nim szyld „Bar pod Oborą". W zaniedbanym miasteczku Skulsk koło Konina duża niebieska tablica z białymi literami: „Miejscowość higienizowana" (?). Rekord jednak należy do Turka. Przy alei, którą wjeżdża się od strony Konina stoi kilka ozdobnych nagrobków, otoczonych rzeźbioną balustradą. Wygląda to na pierwszy rzut oka, jak groby zasłużonych. Tajemnica wyjaśniła się, kiedy podjechaliśmy blisko — nad najwyższym nagrobkiem sterczała tablica: „Firma A. Michalski poleca... itd.". Pech nas ścigał z tymi nagrobkami, 250 kilometrów wcześniej, pod Chojnicami złapaliśmy gumę — co o mało nie skończyło się katastrofą — też koło wytwórni nagrobków.

Na szczęście, była to jedyna groźniejsza sytuacja na szosie podczas całej podróży. Odnosi się wrażenie, jakby nasz ruch drogowy trochę się utemperował. Ciężarówki — postrach szos — jeżdżą uważniej, szalejących motocyklistów spotyka się już tylko w okolicach miasteczek w sobotnie, pijane popołudnia. Turyści, obładowani bagażami, jeżdżą nie za szybko, kulturalnie i ostrożnie, z reguły w kaskach.

### „ŁEBSKA" KULTURA WYPOCZYNKU

Łebę, uroczą miejscowość nadmorską wśród piaszczystych wydm, pamiętałem sprzed czterech lat. Omal jej nie poznałem.

Nadbrzeżny las utkany został dziesiątkami osiedli domków campingowych. Domki są piękne i... pozbawione urządzeń sanitarnych. W ciepły dzień, piękna Łeba zwyczajnie śmierdzi, całe szczęście, że na plaży wiatr wieje od morza.

Oczywiście, tamtejsze władze zajmują się fanatycznie ochroną przyrody. Wydmy pół kilometra wgłąb wybrzeża poogradzano drutami kolczastymi, chociaż dotychczas opalały się tam tysiące ludzi i nikomu to nie przeszkadzało. Nawet u wejścia do lasu dostrzec można wszędobylskie tabliczki: „Zabrania się...". Tym razem zabrania się chodzenia po lesie (!) poza wyznaczonymi ścieżkami. I sypią się mandaty.

Na campingu, gdzie mieszkaliśmy, kilkanaście osób zapłaciło 100-złotowe kary, bo zapytani przez milicjantów naiwnie przyznali, że są tu dłużej, niż 24 godziny. Chodziło, oczywiście o zameldowanie. Ale na ten temat żadnej tabliczki nie było, zaś dozorca campingu wciągał przybywających z imienia, nazwiska i miejsca zamieszkania do specjalnej książki, wszyscy więc myśleli, że jest to równoznaczne z zameldowaniem. Niestety, tamto było potrzebne do rozliczeń finansowych.

Widocznie ojcom nadmorskiego kurortu bardziej opłaca się zarabiać na mandatach, niż na przykład, budować nowe restauracje.

Chociaż i im trzeba oddać sprawiedliwość. Kiedy na campingu, oddalonym o 2 kilometry od miasteczka zepsuł się wodociąg, to już po 48 godzinach przyjechała cysterna z wodą i przyjeżdżała odtąd codziennie.

Gospodarze nie umieją stworzyć warunków do odpoczynku, ludzie nie umieją właściwie odpoczywać. Pomijam już tych stłoczonych niemiłosiernie w domkach campingowych i prywatnych kwaterach. Nawet turyści z campingu, więc ludzie świadomie organizujący sobie wypoczynek, grzeszyli brakiem kultury. Teren campingu wyglądał jak śmietnisko. Pewien nasz sąsiad, pan na „Moskwiczu", zanim ustawił samochód, złamał trzy drzewka.

Jeszcze na zakończenie kilka słów w pewnej sprawie. Posługiwaliśmy się w czasie wędrówek Atlasem Samochodowym z roku 1958 i mapą z kalendarza samochodowego z 1961 r. Obie mapy nadają się wyłącznie do celów orientacji w terenie, wskazówek o rodzajach dróg nie zawierają.

Trzeba się kierować wyłącznie „nosem".

**JULIAN BRYSZ**

## informacje i zaczepki

Półtorej kolumny ostatniego „Życia Literackiego" zajmuje fragment powieści Bernarda Sztajnerta pt. „Ulica Wilcza". Powieść ta będąca już trzecim tomem prozy interesującego łódzkiego pisarza ukaże się w końcu bieżącego roku nakładem „Wydawnictwa Łódzkiego".

•

W ciągu minionego półrocza łodzianie wypili ponad milion litrów spirytusu. Łódzkie gazety cieszą się, bowiem w analogicznym okresie roku ubiegłego spożycie było większe. Dla ścisłości dodajmy, że większe o... 120 litrów. Czyli lekko licząc trzy przeciętne wesela.

•

Rozpoczęły się Dni Filmu Polskiego. W ramach tej imprezy w Łodzi odbędzie się cykl projekcji, na których wyświetlone zostaną wszystkie filmy Antoniego Bohdziewicza. Być może w ten to chytry sposób Łódź usiłuje „rozbroić" reżysera i wykładowcę PWSF, który jak wiadomo, próbował swego czasu „przenieść" do Warszawy Łódzką Szkołę Filmową. Co mu się zresztą, jak wiadomo, nie udało.

•

Wzorem innych miast zlikwidowano na łódzkich dworcach kontrolę biletów przy wyjściu z peronu. „Miejmy nadzieję — pisze w związku z tym „Express" — że z czasem zlikwiduje się także kontrolę przy wejściu na peron". To jeszcze mało. Redaktor „Informacji i zaczepek" idzie dalej i ma nadzieję, że zlikwiduje się również konduktorów w wagonach. Tylko, że wtedy trzeba by zlikwidować koleje.

•

We wrześniu odbędzie się w Łodzi spotkanie młodych inżynierów i techników poświęcone postępowi technicznemu. Organizatorem jest Naczelna Organizacja Techniczna i Komitet Łódzki ZMS. Przewiduje się udział około 300 delegatów z całej Polski.

•

Pani Maria Nalepińska opublikowała w „Głosie" artykuł pt. „Jak krzewić poprawną polszczyznę". Pisząc o inicjatywie swego korespondenta, nauczyciela z Wolsztyna, autorka używa wyłącznie zwrotu per „czytelnik Makarski". A przecież można by pisać: obywatel Makarski, pan, nauczyciel... ale czytelnik? Sztuczne i trochę śmieszne. Niełatwa to widać sprawa krzewić poprawną polszczyznę.

J. W.

PZU
zapewnia
spokojną
starość
ubezpieczeniem RENT
4502/k

# „TAŃCE HULANKI SWAWOLA"...

Dokończenie ze str. 1

ków — butelek po miodzie", albo po innym, mniej szlachetnym napoju, używa; nierzadko uszkadzając nimi na zdrowiu i ciele innego konsumenta. A na końcu: chociaż minął zwyczaj rzucania w twarz rękawiczką, bo teraz — czasu nie ma na takowe ceregiele, więc: prawym sierpowym, a dobrze mu przyłóż, panie kochany! Co się facet stawia, kultury chce uczyć?

No więc, tak można by tę tradycję obyczajowo-zwyczajową uwspółcześnić, zmodernizować, do czasów rzeczywistych przystosowując.

Jeszcze można o kawiarnianych tradycjach pisać patriotycznie — mało to konspiracji wykluwało się przy kawiarnianym stoliku? Nawet daleko dowodów szukać nie trzeba, w polskim filmie „Zamach" bohaterowie podziemia furt po kawiarniach spiskują.

Bez końca można by od twórczej strony o tradycję kawiarnianą zahaczyć. Od Wolskiego zacząć, bo on libretto do „Halki" w warszawskiej cukierni pisał, poprzez historię „Małej Ziemiańskiej", gdzie cały świat twórców się spotykał, i tak dalej, i tak dalej, aż wreszcie do łódzkiej „Honoratki" przejść, gdyż właśnie w niej to, reżyser Roman Polański, swój scenariusz do „Dwóch ludzi z szafą" stworzył, co już kiedyś w prasie ku chwale „Honoratki" drukiem zostało ogłoszone, splendor tejże oraz miastu Łodzi przynosząc.

### FERALNA LICZBA — 31

Mówi się o Łodzi: drugie w Polsce miasto. Mówi się: polski Manchester. Mówi się... Ech, czego się tam o niej nie mówi! Że jest wielka, coraz ładniejsza, bogatsza, rozbudowywująca się wzdłuż i wszerz i trzydzieści tysięcy abonentów telewizyjnych już ma — a wszystko to prawda niezaprzeczalna.

Ale prawdą też będzie, że Łódź, miasto, któremu niewiele brakuje do milionowego mieszkańca, posiada trzydzieści i jedną kawiarnię.

Trzydzieści i jeden. Liczba szczęśliwa: nieparzysta. Wszakże obywatel miasta Łodzi wyraża odmienne zdanie. I Dyrekcja ŁZG—Kawiarnie też wcale nie sądzi, że 31 to szczęśliwa cyfra.

Bo gdyby tę rzekome szczęśliwą liczbę przyjąć za stopień cywilizacji naszego miasta, albo uczynić z niej współczynnik jego kultury, to wypadłaby ona katastrofalnie nisko. Ale przecież nikt z Prezydium miasta nie przyjmuje ilości łódzkich kawiarni za stopień kultury — kulturę, wiadomo! — mierzy się statystyką dotyczącą teatrów, kin, bibliotek, wykresami podaży telewizorów, pralek czy lodówek. O, to jest kultura: konsumpcyjna, duchowa, materialna, i — najważniejsza: masowa.

Jednakże tak się jednocześnie składa, że ostatnimi czasy zapanowała jakaś dziwaczna moda na kawiarnie, i nawet Pegeery fundują je sobie, nierzadko z ekspresami, a każdy partykularz za szczyt kulturalnych ambicji uważa posiadanie własnej kawiarni. Kronika Filmowa wtedy przyjeżdża do partykularza, film nakręca, a Małcużyński oznajmia w komentarzu, że kawa pod strzechy murowane trafia. Pewno, kawa ani wieszcza, ani literatury, nie zastąpi, ale przy kawie o wieszczach i o literaturze można mówić, więc, może to jest coś więcej niż pusta moda, może to już rzeczywista potrzeba, te kawiarnie?

No, a jeżeli potrzeba i to masowa w dodatku, to znaczy, że społeczna, i że z kulturą coś wspólnego mieć musi.

### MIEJSCA ZAPOWIETRZONE

Gdyby wystawiać Łodzi świadectwo na podstawie jej kawiarń, żadne „plecy" by nie pomogły w uzyskaniu oceny więcej niż dostatecznej. A i taka ocena byłaby optymistyczną. Pomijając już ilość łódzkich kawiarń, której daleko do cyfry wystarczającej, zostaje jeszcze do rozważenia ich j a k o ś ć. Na 31 kawiarni tylko p i ę ć zalicza się do kategorii p i e r w s z e j, 27 jest zaklasyfikowanych jako druga i trzecia kategoria. Z kategorii drugiej należy wyłączyć wiele takich lokali, do których wstęp dla większości osób jest tabu, a stanowi Mekkę i Medynę dla mniejszości. Tabu dlatego, że spokojny człowiek przez szacunek dla samego siebie i — niestety — ze względu na własne bezpieczeństwo woli omijać te miejsca jak zapowietrzone, zaś Mekka dla tych, którzy znajdują w nich schronienie. Tak to, z 31 kawiarni łódzkich, praktycznie tylko te pięć, kategorii pierwszej można brać pod uwagę. Względy snobistyczne małą grają tu rolę. Bardzo prawdopodobne, że ten i ów pan inżynier, stały bywalec „Honoratki", nie zniży się do wypicia kawy w lokalu państwowym, i to kategorii drugiej, ale kto rozsądny odważy się wieczorem wejść do takiej na przykład „Mariolki", chociaż to lokal położony w samym śródmieściu (Piotrkowska 12), a nie na Dzikim Zachodzie?

Na 31 kawiarń — 21 zlokalizowano w śródmieściu. Załóżmy, że jest to liczba wystarczająco wysoka, aby zaspokoić potrzeby spokojnych obywateli miasta Łodzi, jak również obywateli z kategorii „Mariolki". Ale, czy może wystarczyć 10 kawiarń, obsługujących całą rozległą Łódź poza — Piotrkowską? W dzielnicy Polesie mamy tylko dwie kawiarnie, do których lepiej nie wchodzić; Łódź—Górna szczyci się również dwiema: „Irysem" i „Papugą", słynnymi z chuligańskich incydentów; uprzywilejowane Bałuty posiadają sześć lokali, Widzew — żadnego. Gdyby więc na podstawie lokalizacji kawiarń ustalać dla Łodzi plan miasta, podzieliłby się on na śródmieście i zupełnie niebywałe peryferie.

### W SPRAWIE PRZYROSTU NATURALNEGO KAWIARŃ

W swoich planach na rok 1963 ŁZG-Kawiarnie posiada zapisaną j e d n ą kawiarnię, którą otworzy w nowym budownictwie przy ulicy Nowotki. Ba, plany „przyrostu" kawiarni nie leżą w kompetencjach Dyrekcji ŁZG. O nowych kawiarniach decyduje Miejska Komisja Planowania, która ustala: co, gdzie, jak, kiedy; ale i ona z kolei potrzebuje na swoje plany akceptacji Wydziału Handlu, który może się zgodzić na „kiedy", a już odrzucić „gdzie", albo „jak". Lub odwrotnie. Czyli — kombinacji matematycznych mnóstwo, a z praktycznych: jedna, zaplanowana na 1963 r., kawiarnia.

Łódź rozbudowuje się nam wzdłuż i wszerz. Wśród oddanych do użytku i wśród jeszcze budujących się osiedli jak Dąbrowa, Karolew, Osiedle Młodych, Widzew-bloki, Włady Bytomskiej zlokalizowano tylko jedną, jedyną — zresztą nowoczesną, doskonale wyposażoną, ze świetnie zaprojektowanym wnętrzem — kawiarnię w wieżowcu przy ulicy Spornej, ochrzczoną odpowiednim mianem „Jedyna". (A na marginesie, to mieszkańcy nowych osiedli nie sięgają nawet w utajonych marzeniach po kawiarnie, woleliby otrzymać sklepy, jezdnie i chodniki w swoich dzielnicach).

Co z tego, że jeszcze dwa lata temu Łódź liczyła o siedem kawiarni mniej, jeżeli apetyt na kawę rośnie stale, i łodzianin wypija teraz miesięcznie małych czarnych z półtora tysiąca kilogramów kawy, podczas gdy dwa lata temu z ledwością dociągał do pięćset kg. Z której strony by nie zahaczyć, wszędzie wynika jeden wniosek — Łodzi potrzebne są nowe i dobre kawiarnie.

Pracownicy Dyrekcji ŁZG-Kawiarnie mogą być spokojni swoich losów przyszłych: niebo mają zapewnione. Trochę tylko dziwne, że opiekunowie miasta bagatelizują w sposób wyraźny rolę kawiarń i ignorują postulaty Dyrekcji. Trudno dziś doprawdy uważać kawiarnie za przeżytek burżuazyjny, negować ich funkcję w życiu społecznym, obyczajowym i kulturalnym miasta, będzie zwykłą niedorzecznością. Gdzie leży więc źródło obojętności wobec spraw łódzkich kawiarni? Jak na przykład ustosunkować się do pouczającej historii modernizacji „Łodzianki"?. Reprezentacyjna kawiarnia łódzka od roku czeka na wykonawcę, który zechciałby zająć się niczym innym — tylko realizacją gotowych już planów modernizacji lokalu. A do jakiej kategorii spraw zakwalifikować historię „Ireny"? Nie, nie ma jeszcze takiej kawiarni. Ale miała być. Już w 1959 roku. W tymże roku opracowano dokumentację, przewidziano lokal piękny, luksusowy, umiejscowiono go przy zbiegu ulic Narutowicza i Wierzbowej, i na tym koniec. Dokumentacja czeka sobie w jakimś prezydialnym biurku od trzech lat jak zawsze... — na wykonawcę. A łodzianin zgłasza pretensje: dlaczego nie dajecie nowych kawiarni? Dlaczego te, które mamy, to są w większości obskurne lokale, do których nawet nieprzyjemnie zajrzeć?

Nikt nie wymaga cudów, nie żąda zaraz całej rewolucji, ale żeby aż trzy lata czekać na mitycznego wykonawcę?

Tymczasem zaś, nie kto inny, a ŁZG posiadają na swoim koncie najlepszą w Polsce ocenę jakości kaw. Nasze wybrzydzania na małą czarną wynikają już z przyzwyczajenia: narzekaliśmy dawniej (i sprawiedliwie) na podłe kawy, narzekamy w dalszym ciągu na tysiące rzeczy, które rażą nas w gastronomii, co nam szkodzi szeregować wszystko pod wspólny mianownik?

Ale kontrola PIH za ostatnie siedem miesięcy była łaskawa dla łódzkich kawiarni. Tylko w 20% kontrola kaw wykazała odchylenia od przewidzianej normy, 80% wypadło na korzyść małej czarnej. Dla porównania — w 1960 r. zgodność z normą za taki sam okres siedmiomiesięczny wynosiła... 38%. Różnica więc kolosalna — i na korzyść.

Wystarczy zresztą przejrzeć uwagi, wniesione w ciągu ostatniego półrocza przez konsumenta, aby przekonać się, że malkontencka mała czarna nie zajmuje pierwszoplanowego miejsca w zażaleniach. Wszystkich uwag było 383, a w tym: 201 (!) to pochwały, 157 osób, więc mniej niż połowa wpisanych do książek życzeń i zażaleń, zgłosiło skargi, z zastrzeżeniem, że część z nich (57) nie przedstawiła żadnej motywacji. Wśród uzasadnionych 98 zażaleń najwięcej dotyczyło niewłaściwej obsługi (38), niewłaściwego zaopatrzenia (12), i złej jakości dań (17, więc małej czarnej włącznie). Ciekawe, że tylko dwie skargi sygnalizowały nieuczciwe pobranie przez kelnerki opłaty.

Tyle łódzki konsument. Przy okazji wyjaśniam, że książka życzeń i zażaleń — to rzadko kiedy lipa. W takiej książce strony są numerowane, a za ewentualne wydarcie wylatuje się z pracy, a każda uwaga, nawet nieuzasadniona przez konsumenta, jest kontrolowana, z każdej uwagi kierownicy tłumaczą się na specjalnych analizach. Wiele wniosków, z ogólnie postulowanych 25, zostało przez Dyrekcję uwzględnionych, jak na przykład ten proponujący przeniesienie bufetu w kawiarni „Łodzianka" w bardziej dogodne dla klientów i personelu miejsce.

...A swoją drogą, panie Nowak, pan się nic a nic nie zna na łódzkich kawiarniach. Ja wiem, pan jest postacią fikcyjną, winna jest więc głowa Autora, który pana wymyślił, pan jest niewinny. Postaram się przy najbliższej okazji udowodnić panu, panie Nowak, te słowa, jak i to, że pański „bedeker" nie zasługuje na cytowanie, i lepiej dla niego, i dla pana również będzie, jeżeli pójdzie on jak najszybciej w niepamięć.

EWA OSTROWSKA

Fot. A. Itzepa

# OBROTY RZECZY

## Dalszy ciąg ze str. 1

moniałem, mają lepsze rozeznanie w rzeczywistym stanie literatury niż instytucja zajmująca się upowszechnianiem dóbr kulturalnych. Nie wiem z kolei, co mężowie stanu sądzą, ale tak już zupełnie prywatnie, o poezji współczesnej, ale i na tym odcinku zdaje się istnieć rozbieżność między nimi a Polskimi Nagraniami. W przeciwnym razie nie byłoby tej przychylnej atmosfery dla wszelkich poetyckich zjazdów, których się namnożyło w naszym kraju, nie byłoby tej nieprzeliczonej ilości nagród, czekających właśnie na poetów i na Konkursie Recytatorskim nie premiowałoby się repertuaru współczesnego.

Tymczasem według rozeznania Nagrań Polskich nasza literatura współczesna, a biorąc ściślej poezja współczesna, sprowadza się do trzech nazwisk: Broniewski, Gałczyński (trzy płyty) i Słonimski. Ponieważ Gałczyński zmarł w 1953 r. należy przypuszczać, że i tamte pozostałe nagrania pochodzą z tego mniej więcej okresu.

Nie będę tu przypominał, że od 1953 r. literatura nasza posunęła się nieco naprzód, że zjawiło się nowe pokolenie poetów 1956. Wszakże i w tym 1953 r. poezja nasza mogła się pochwalić nieporównanie większą ilością nazwisk. Mogli wówczas s a m i czytać swoje wiersze Tuwim i Staff. Mogą je jeszcze dzisiaj czytać Przyboś i Jastrun, Iwaszkiewicz, Ważyk, Różewicz.

Warto pomyśleć o jakimś przeglądzie poezji najmłodszej w wykonaniu autorów, aby się tam znaleźli Herbert, Grochowiak, Harasymowicz, Karpowicz, Rymkiewicz i Białoszewski.

Prawdę mówiąc, na podstawie ustawy z 15 lutego 1962 r. o ochronie dóbr kultury i o muzeach, zagadnienia tego w odniesieniu do twórców starszych, których poezja w dostatecznym stopniu zobiektywizowała się, została przyswojona przez odbiorców, weszła do programów szkolnych, sprawy tej nie można rozpatrywać w kategoriach możliwości, ale w kategoriach obowiązku. Prawnego, redaktorskiego obowiązku. Zgodnie bowiem z artykułem piątym tej ustawy przedmiotem ochrony są materiały archiwalne — niezależnie od techniki ich wykonania a wśród nich również „nagrania dźwiękowe" i inne dokumentacje utrwalone sposobem mechanicznym (ust. 8), „pracownie i warsztaty wybitnych twórców i działaczy, jak również dokumenty i przedmioty związane z ich życiem i działalnością (ust. 11), „inne przedmioty nieruchome i ruchome, z a s ł u g u j ą c e n a t r w a ł e z a c h o w a n i e ze względu na ich wartość naukową, artystyczną lub kulturalną (ust. 12).

Powołując się na ustawę, idę po linii pańskich przekonań, osobiście bowiem nie uważam, że poeci w naszym kraju są już tak bardzo zbędni, że trzeba ich chronić jak muzealne zabytki. Poezja ma bowiem to do siebie, że nawet kiedy jest zabytkiem, nie traci swojej siły oddziaływania, najlepszym tego przykładem jest wciąż ogromna popularność „klasyki". Ale głos, głos autora jest tym właśnie, co zasługuje na trwałe zachowanie.

Przez cały czas naszej rozmowy starałem się zrozumieć Pańskie racje. Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się bardziej otwartego ataku, spodziewałem się choćby jakiejś części tej gorącej dyskusji, która spoziera z łam czasopism literackich kiedy mowa o poezji współczesnej. Nie dotknął Pan meritum, potraktował Pan całą kwestię w kategoriach handlowych, co by nie było najgorsze, gdyż i na odcinku kultury potrzebne są tzw. handlowe głowy. Ale Pan ustawił właściwie zagadnienie w jego aspekcie k o m e r c j a l n y m.

Ale nawet w tym ustawieniu nie mogę się zgodzić z Panem, Redaktorze. Obarczył Pan odpowiedzialnością za brak nagrań żywego słowa kontrahenta — Składnicę Księgarską, która zajmuje się sprzedażą płyt. Proszę mi wybaczyć, że znowu dosłownie zacytuję Pańskie słowa: „To nie wina Polskich Nagrań, Składnica nie składa zamówień".

Nie wiem, w jaki sposób Składnica Księgarska dokonuje swoich zamówień, gdyż w waszym dziale handlowym najpierw odsyłano mnie z pokoju do pokoju, a w ostatnim oświadczono, że nie mogą udzielić informacji bez porozumienia się z kierownikiem, na którego znów ja nie mogłem czekać. Nie wiem więc, jaki procent nagrań żywego słowa znalazł się na rynku, jaki zalega magazyny, gdyż może wcale nie zalegać. Wiem natomiast, że handel składa zamówienia na podstawie katalogów, z których, jeśli chodzi o nagrania żywego słowa, nie ma co wybierać. Pozycje o których rozmawialiśmy ukazały się przecież, że tak to określę, w przekroju historycznym Polskich Nagrań, w ciągu kilkunastu lat.

Napisałem wyżej, czego się nie mogłem dowiedzieć. Pragnę teraz jeszcze dodać, czego nie mogę zrozumieć.

Otóż nie mogę zrozumieć przeświadczenia Polskich Nagrań o absolutnej niepopularności nagrań żywego słowa a co za tym idzie spychania na margines związanej z poezją produkcji. Nie mogę zarazem zrozumieć, dlaczego w ostatnim konkursie recytatorskim wzięło udział 50 tys. osób? Nie potrafię sobie wytłumaczyć dynamicznego rozwoju teatrzyków poezji i popularności Wojciecha Siemiona. Tracę zupełnie koncept na myśl, jak rozstrzygnąć popularność poetyckich koncertów życzeń w radio i „Magazynie Polskim". Mam kłopoty z wytłumaczeniem sobie, dlaczego na wieczory autorskie takiego poety, jak choćby Jarosław Iwaszkiewicz, nie można się wcisnąć inaczej, jak przy pomocy rozpychania się przez tłum, który przyszedł zobaczyć autora „Plejad".

Tego wszystkiego nie mogę zrozumieć. I żeby to móc zrozumieć, a jednocześnie potrafić wyjaśnić Czytelnikom naszego tygodnika, chciałbym bardzo, aby panowie, tam w Polskich Nagraniach, porozumieli się co do tego, że plan nagrań żywego słowa, nagrań współczesnych poetów, nie jest tajemnicą państwowej wagi. W tym przeświadczeniu oczekuję na jakąś wiadomość w tej sprawie, a równocześnie w przeświadczeniu, że będę wyrazicielem życzeń wielu nauczycieli, miłośników poezji, recytatorów przygotowujących się do najrozmaitszych konkursów, kierowników świetlic i wszystkich czytelników, którzy chcieliby widzieć u siebie w domu nagrania twórców, z którymi tylko na chwilę mogli się spotkać na wieczorach autorskich. W tym właśnie przeświadczeniu.

**KONRAD FREJDLICH**

Fot. L. Olejniczak

KAROL BADZIAK

# TROPAMI LEGENDY

Siedzę w tej karczmie już z godzinę i jakoś nieswój się czuję. Czy karczma Rzym się nazywa? Nie. Tumidaj. Czekam aby jakiś diabeł się zgłosił i cyrograf chciał ze mną spisać. Diabeł się jednak nie zgłasza. Zjawia się natomiast szynkarka, podchodzi na swych kaczych nogach, usłużnie wódkę i kiełbasę stawia, a bieluśka jest jak ten aniołek-archaniołek, symbol pokoju, szczęścia i końca ludzkości. Zaraz i na mnie to szczęście, spokój i myśli spłynęły jak tylko w gardle smak miodu poczułem.

Deszcz tymczasem przestał padać, słońce wyjrzało zza chmur i kilka promieni na dnie kieliszka usiadło, tam gdzie miód z alkoholem się mieszał. Karczmarka, pani Proszewska, za szynkwasem zasiadła i w promieniach tego słońca list od wnuczka odczytuje. Wnuczek na Politechnikę Warszawską zdał, na wydział fizyki jądrowej. Raduje się serce karczmarki, że z wnuczka taki mądrala, ale i strach ją obłazi okropny jak sobie pomyśli, że z jądrami fizycznymi będzie miał do czynienia. Oj, niebezpieczny, niebezpieczny, fach sobie wybrał Śmierci dotrać się może. Różnie ludzie o tych atomach gadają. Podobno w nich taka siła siedzi, że sam Pan Bóg nie wie, a co dopiero człowiek. Karczmarka o tym słyszała od uczonych panów, co to samochodami mkną z miasta do miasta.

Czasem taki samochód zatrzyma się przed zajazdem, wysiądą sobie z niego, a jak zdrowo popiją to różnych rzeczy się można nasłuchać. A słuch pani Proszewskiej ma dobry, nie to co jej mąż, który już ledwo nogami powłoczy. Ogłuchł ostatnio, pamięć traci, ale z liczeniem daje sobie jakoś radę. Z przyzwyczajenia. Czterdzieści trzy lata to szmat czasu. Jak tu przyszli była młodą dziewczyną. Siedemnaście lat miała kiedy wyszła za mąż. Ślub odbył się w Złoczewie. Huczny i radosny, tak jak przystało na pannę wójtównę złoczewską i syna dębołęckiego karczmarza. Bo jej ojciec był wójtem w Złoczewie, a ojciec jej męża kucharzem we dworze pana Białeckiego, dziedzica na Dębołękach. Jeszcze przed pierwszą wojną światową wziął w dzierżawę tę karczmę a jak zmarł — objął ją po nim syn jego a mąż obecnej tu karczmarki, który również był kucharzem we dworze i jednocześnie dzierżawił szynk. Dopiero po drugiej wojnie reforma rolna przyszła to i karczmę i półtora hektara ziemi otrzymali Proszewscy od nowej władzy.

43 lata to dużo. Wiele kwaterek i kieliszków wypili przez ten czas goście, wiele się na świecie zmieniło. Wyboistą drogę biegnąca obok karczmy zastąpiła betonowa szosa. Zniknęły konne karety i furgony. Potem przyszły automobile a i te zniknęły. Coraz szybciej mkną pojazdy mechaniczne po szosie, za szybą karczmy świat coraz bardziej się spieszy, ludzie coraz prędzej gdzieś jadą. Od czasu do czasu tylko zgrzytają hamulce przed karczmą. A im bardziej tamci z szosy się spieszą, tym wolniejsze wydaje się życie karczmarki. Ręce i nogi odmawiają jej posłuszeństwa, wapnieją żyły krew powoli się przez nie przesącza. Już nie te czasy nie te. 43 lata. 43! Karczmarka chodzi wokół, gada, przystaje, muchy pod sufitem brzęczą, ptaki w lesie śpiewają, samochody po szosie mkną a ja zaglądam do swego kieliszka. Gotuję się do ostatecznego ciosu, powiem karczmarce, że przyjechałem tutaj, aby uchwycić moment przemijania. Bo ja — powiem jej — jestem reporter, którego przysłano, aby legendę chwycił za rogi. A gdzie skrupuły? Czy wolno mi tę kobietę w podeszłym wieku niepokoić błahymi pytaniami? Ale ja nie mam skrupułów. Pochodzę przecież ze świata kawiarń a nie karczm. Wreszcie się decyduję.

— Czy wiadomo pani coś na temat pobytu tutaj Napoleona a może i pani Walewskiej?

— Ee, wszyscy panie o to pytają, a skąd ja mam wiedzieć, stara jestem, nieuczona. Wy, panowie, to tylko za takimi rzeczami jeździcie, to i wiedzieć powinniście. Walewska to tu niejaka zaglądała, ale jak się do Sieradza wyprowadziła tak przestała. Napisałby pan, że za założenie światła elektrycznego żądają od nas siedemnaście tysięcy złotych. Skąd wziąć na raz tyle pieniędzy?

No i co z nią robić? Powiedzieć jej, że ja pierwszy raz za „takimi rzeczami" jeżdżę? I tak nie uwierzy. Czytałem gdzieś, że w Niemczech przedsiębiorczy restaurator w jakimś małym miasteczku puchar ze sztucznego złota w kształcie korony królewskiej spreparował i po 50 marek brał za przyjemność napicia się z tego królewskiego naczynia. Ba, w szybkim czasie fortuny się dorobił. A gdyby tak pani Proszewska wywiesiła kartkę przy studziennym żurawiu: „Tu pił wodę SAM wielki Napoleon Bonaparte" Przy pierwszym lepszym zaś stoliku: „Przy tym stoliku biesiadował Napoleon z panią Walewską. Spijał miód przedni kaszubski i zakąsał bażantem". Z WPHM mogłaby sprowadzić też tapczan a nad nim zawiesić napis: „Chcesz się poczuć jak Napoleon — prześpij się w tym łożu. Opłata za jedną godzinę — 2 dolary".

To wcale nie satyra, a pobożne życzenie. Karczma w Tumidaju leży przecież na trasie Łódź—Poznań. W okresie letnim przyjeżdżają tędy dziesiątki turystów i gości zagranicznych. Przy umiejętnej reklamie i odpowiednio drukowanych przewodnikach Tumidaj niczym Grand Hotel w Sopocie mógłby stać się w krótkim czasie fabryką dewiz.

Oczywiście nie dzielę się swoimi genialnymi myślami z karczmarką. Geniusze bowiem dość często wśród ludu uchodzili za głupców. I odwrotnie: głupcy za geniuszów. Zresztą tej kobiecie, i tak jest to obojętne. Jej czas zastygł w dniu własnego wesela. I im szybciej toczy się życie za szybą karczmy tym wewnątrz coraz mocniej stoi ono w miejscu. To nic, że tam gdzieś ludzie strzelają rakietami w niebo i że Nikołajew z Popowiczem szybują Wostokami w kosmos.

— Na motele nas nie stać — przekonywał mnie niedawno pewien prezes. — Nie stać nas, bo państwo nasze ubobie.

Głupio mi się wtedy zrobiło, bo nie wiem co w takiej chwili odpowiedzieć. A prezes ciągnął dalej..

I na garaże też nas nie stać. W Łodzi trzech tysięcy garaży brak. Właściciele samochodów płacą lichwiarzom 700 zł miesięcznie za wynajęcie komórki. Swego czasu kilku ludzi z głową zaproponowało otwarcie spółdzielni, która by się zajęła budową garaży. Dopiero po roku otrzymali z Warszawy odpowiedź na swą propozycję, odpowiedź niechętną, acz akceptującą ich pomysł. A tymczasem naród nabywa samochody, kupuje kradzione materiały i buduje nocami na dziko garaże.

Wcale się temu nie dziwię. Jakbym sobie kupił samochód też bym się wszelkimi sposobami starał o garaż, aby mi ktoś w nocy kół od wehikułu nie poodkręcał. Ale choć sam nie mam samochodu i tak jestem za budową moteli i garaży, bo wiem, że kto jest przeciwko, ten jest też przeciwko postępowi, przeciwko cywilizacji. Cóż, wypada mu zaproponować, aby z powrotem wlazł na drzewo. Stamtąd zawszeć to większy horyzont się ma.

Ani się obejrzałem a w karczmie zrobiło się rojno i gwarno. Pani Proszewska służkę swą Marusię, która puchowe pierzyny z dworu już zniosła, od obsługi gości nagnała. Przed domem konie mechaniczne się tłoczą, a w środku jeźdźcy lulki (Extra-mocne") palą i w ogóle swawolę wyczyniają, mało karczmy nie rozwalą. Ściany się trzęsą, podłoga skrzypi, obrazy jakieś nijakie ledwo na ścianach wiszą, za szynkwasem wśród kiełbas, wódki i taniego wina króluje karczmarka, błogo się uśmiecha i piwo z beczki do kufli gracko pompuje. Jakiś starszy jegomość w skórzanej kurtce (właściciel „Junaka") opowiada przygodnym znajomym od sąsiedniego stolika o tym jak Volkswagen wpadł na autobus PKS. „Widziałem na własne oczy. Jak Boga kocham. Szkoda wozu. Panie, sam szmelc z niego został". — „Ja bym se tam jeszcze wyporządził" — odzywa się młokos o aparycji traktorzysty, „Żeby mi go tylko dali".

— Volkswagen pan mówi ho, ho! A co z ludźmi? — wtrącam nieśmiało zdając sobie zresztą sprawę z tego, że popełniam grubszy nietakt towarzyski, przerywając dyskusję fachowców tym błahym pytaniem. — „Ej, zabici na śmierć" — odpowiada ten w skórzanej kurtce. Opuściłem lokal nad którym widniał du-

ANNA POGONOWSKA

# KWIECIEŃ II

*Jest las jak w perłach Każda gałąź*
*W pąkach i trelach czerń zatraca*
*A kiedy idę — nieruchome*
*Zawilce — te sprzed stu lat zgniatam.*

*Zając i sarna przez desenie*
*Brzóz i olszyny mkną wypukło*
*Z liściastych skrzeli zdziera feniks*
*Promieniujące włókno*

# MASKA UŚMIECHNIĘTA

*jej rozchylone wargi łagodne*
*miejsce na oczy podłużne*
*nos ledwo zaznaczony*
*aby cienia nie rzucał*
*czoło dla ruchu loków*

*w masce tej*
*szczęki śmierci sparaliżowane*
*nie dygoczą rozziewem*
*zakneblowane uśmiechem*

# W BŁYSKU PŁATKÓW

*Kto mi kwiaty podawał Czyje ramię*
*Uderzyłam swym czołem*
*Tyżeś to A to była wskazówka zegara*
*Trzymałam wiązankę cyfr*

*Odrzucone stanęły Że nie mogłam uciec*
*Śmiałam się Na wąskiej uliczce*
*Gnącej się wraz ze wzgórzem W błysku*
*płatków*

*Akacji bijącej w bruk*

MARIAN PIECHAL

# ROZMOWA *z mistrzem* NIKIFOREM

Szanse nasze jako rozmówców były nierówne. Ja wiedziałem z kim mówię, on nie wiedział. Mnie on interesował, ja jego nie i to w stopniu, zdaje się, absolutnym. On był dla mnie kimś konkretnym i wyjątkowym, ja dla niego jednym z wielu nic nie znaczących przelotnych ludzkich cieni. I na tym polegała jego bezwzględna nade mną przewaga.

Jak wiadomo w Krynicy, idąc w górę ulicy Pułaskiego tuż zaraz powyżej nowych łazienek, tylko po przeciwnej stronie, stoi zielony z różową dachówką domek Nikifora. Jest to właściwie jego sezonowo-letnia pracownia, bo mieszka, a i pracuje zimą i w pory przejściowe, gdzie indziej. Jest bowiem bardzo wrażliwy na zmiany klimatyczne — nic dziwnego, ma przecież około siedemdziesiątki. Ten kwadratowy domek zbity z pomalowanych olejną farbą desek robi wrażenie jakiejś przyfabrycznej lub kolejowej budki strażniczej. Do wnętrza dostać się niepodobna, bo Nikifor siedzi w niej odgrodzony od świata — raz furtką do miniaturowego podwóreczka przed budką, a potem drzwiami tej budki zamkniętymi od wewnątrz. Naprzeciw tych drzwi jest jedno jedyne okno, przed którym za stołem siedzi mistrz Nikifor i maluje. Okno zasłonięte białą czystą firaneczką posiada otwierany od wewnątrz lufcik. Kto chce się dostać przed oblicze krynickiego mistrza musi się wspiąć drewnianymi schodami na pomost z balustradką, otaczający z boku i od frontu ten domek i stanąć przed otwartym zazwyczaj lufcikiem. Oczywiście tylko w dni pogodne. Po otwartym lufciku poznaje się, że mistrz jest obecny i pracuje. Ale w dni mniej pogodne lufcik jest zamknięty i wtedy należy weń zapukać. Jeśli mistrz jest w dobrym samopoczuciu, to otworzy — jeśli pogrążony w zapamiętałej pracy, daremne wszelkie pukania.

Tak samo, gdy go w tej sezonowej pracowni nie ma. A nie ma go dość często, bo mistrz garnie się do ludzi i jest dość praktyczny w swoich zabiegach merkantylnych. Często go można spotkać na deptaku, najczęściej pod muszlą dla orkiestry, sprzedającego swe obrazki. Zna ich cenę i nigdy się nie pomyli w ich szacunku. Widać, że zależy mu na sprzedaży, ale nie wdaje się w żadne targi i nie może być mowy o ustępstwie od raz wyznaczonej ceny, figurującej na obrazku.

Dwa razy wspinałem się po schodach do tego okienka w domku Nikifora. Pierwszy raz były otwarte. Mistrz siedział naprzeciwko za drewnianym pokrytym białym papierem stołem i malował na szarym kartoniku wielkości dużej koperty. Nie chcąc mu przerywać, kiwnąłem tylko na znak powitania głową, co miało zastępować słowa: „Cześć pracy!". Mistrz jak gdyby posłyszał je uchem ducha, bo oderwał wzrok od kartonu i na chwilę spojrzał na mnie. Ujrzałem młode niebieskie oczy dziecka w starczej zaniedbanej twarzy. Trwało to moment. Żadnego w nich zdziwienia, ani pytania. Błyskawiczna orientacja, że gość nie przyszedł, żeby coś kupić, ale tak sobie. Wzrok wrócił do kartonu, na którym widniał zarys jakichś wież kościelnych. Przytrzymywał ten karton lewą ręką, a prawą z paznokciami o czarnych zadawnionych obwódkach maczał pędzel w słoiku z mętną wodą. Obok słoika mnóstwo farb akwarelowych i tubek, a po lewej stronie stołu kawał żółtego opaprykowanego na czerwono ruskiego „sala" z nad gryzioną bułką z masłem na nim i nożem kuchennym obok. Na małej ściennej półce po lewej jego ręce plik białych kartoników. W głębi przy drzwiach wiadro, miotła, ściany bielone gołe. Nikifor traktuje pracę swoją po chłopsku, jako obrządek, siedzi w kamizelce, w zmięsoszonym krawacie pod brodą, w starym zapleśniałym kapeluszu na głowie, którego nie zdejmuje ponoć nawet podczas snu.

Stałem tak dobrą chwilę przed tym okienkiem, wpatrzony w milcząco pracującego mistrza, który już ani razu nie zaszczycił mnie swym spojrzeniem. Po prostu przestałem dla niego istnieć. Istniał tylko jego karton, który miał przed sobą i który pracowicie zasmarowywał. Od czasu do czasu zmaczany w słoiku pędzel doprawiał rzetelnym popluciem. Prawdopodobnie nawet nie zauważył, kiedy odszedłem od okienka. Taka była moja pierwsza z nim rozmowa. Że niema? Cóż to szkodzi! Ale za to pełna jakże niewysłownej treści.

Niewysłownej, bo treść zawarta w dziele Nikifora nie da się w pełni wyrazić słowami. To, co ma do powiedzenia, wyraża swymi kolorowymi obrazkami. I to mu wystarcza. I to powinno wystarczyć nam. Reszta to jego prywatna sprawa, którą strzeże zazdrośnie swym milczeniem i po prostu niewiedzą o sobie samym. Jest sobą tylko wtedy, gdy tworzy i tylko w tym, co maluje — poza jego dziełem on sam dla siebie i zdaje mu się, że i dla nas, nie istnieje.

Jednak istnieje jako fenomen natury ludzkiej. Jako zagadka zatrzymanego w rozwoju infantylizmu, zakonserwowanego tak, że niewyczerpanie rozkwitającego wciąż w doskonalszych formach urzekającej naiwności.

Poszedłem na rozmowę z mistrzem Nikiforem po raz drugi. Tym razem okienko było zamknięte. Zapukałem. Okienko się rozwarło. Za stołem spojrzenie tych samych, co poprzednio, jasnych, niebiesko-dziecinnych oczu. Powiedziałem głośno: „Dzień dobry, mistrzu!". Ale mistrz nie raczył nawet usłyszeć tego nic nie znaczącego banału. Mistrz jest rzeczowy. Nie spuszczał ze mnie wyczekującego spojrzenia, trzymając w lewej ręce kartonik z zarysem kopulastej cerkiewki, a w prawej mały pędzelek. Więc odezwałem się, tym razem już konkretniej: „Czy można by coś nabyć?". Mistrz od razu zareagował praktycznie, choć niemo. Nie wypuszczając z prawej ręki pędzla, z lewej wypuścił trzymany dotąd kartonik i sięgnął w bok do półki z kilku namalowanymi obrazkami. Ale podał tylko jeden (szary szkic kościółka wiejskiego), wskazując na wypisaną na nim niewyraźnie cenę. Żeby się upewnić, zapytałem: „Ile?". Wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i wskazał znów na wypisaną na obrazku cyfrę, a widząc moje wahanie dla zachęty odwrócił kartonik i pokazał, że i odwrotna strona jest zamalowana. Kiedy dalej nie przestałem się wahać, cofnął nagle rękę z tym podwójnym obrazkiem, wrzucił go niedbale na boczną półkę i zabrał się do malowania, nie zwracając już odtąd na mnie najmniejszej uwagi, jak gdybym przestał dla niego istnieć. Ale okienka nie zamknął mi przed nosem, pozwalając dłuższą chwilę kontemplować siebie i swoją pracę. Nastała między nami cisza taka, że słychać było nasze oddechy i lot muchy, która właśnie siadła na rozkrojoną połowę arbuza, leżącego teraz na miejscu dawnego „sala". I tak się skończyła ta druga moja rozmowa z mistrzem Nikiforem.

Kto sądzi, że mowa Nikifora, to bełkot, ten się myli. Mową Nikifora są jego obrazki. Po cóż mu wobec tego słowa? Że nie potrafi kojarzyć dźwięków z odpowiednimi treściami? Za to potrafi te treści kojarzyć właściwie z barwami. Te barwy to jego język. Bo jak powiedział pewien historyk o jednym z królów polskich, że władał ośmioma językami, ale żadnym z nich nie miał nic do powiedzenia. Mistrz Nikifor włada tylko jednym językiem — językiem barwy — i wypowiada nim wszystko. Dlatego rozmowa z nim w jakimkolwiek innym języku poza barwą jest rozmową niemą. Ale to nie znaczy, że bez treści. Żadne wymiany słowne nie nasunęły mi dotychczas tyle myśli o fenomenie talentu ludzkiego, co dwie nieme rozmowy moje z mistrzem Nikiforem.

---

ży szyld z napisem KARCZMA. I u dołu: „Bar III kat. Henryk Proszewski". Nic tam po mnie. Nie potrafię wydobyć z siebie ani grama żalu po utracie przez ludzkość pięknego Volkswagena.

* * *

Do pałacyku w Dębołęce jedzie się lipową aleją. W byłej siedzibie dziedzica mieszczą się biura PGR. Część ziemi bowiem rozparcelowano, a z reszty powstało Państwowe Gospodarstwo Rolne. Przybyszowi rzuca się zaraz w oczy nieład, brud, zdziczałe drzewa, zabagniony staw, który cuchnie aż w nosie kręci. Nie znam się jednak na tym, może tak musi być. PGR to w końcu nie salon mody, a ośrodek mozolnej pracy. Były dziedzic też rzadko tutaj zaglądał. Zajmował się wymierzaniem sprawiedliwości, sędzią był. Córka jego wyszła za mąż, za przemysłowca. Krew i pieniądz zawsze przecież chodzą z sobą w parze. Tym bardziej krew błękitna i duży pieniądz. Mało kto z tutejszych pamięta dawne czasy. Jedynie Krzemiński, były fornal z sentymentem je wspomina. Ale zaraz dodaje: — Jak rządcy rano w rękę nie pocałował, to wieczorem pocałować musiał. W przeciwnym razie zaliczony by został do nieobecnych. Owszem, do karczmy też czasem zachodził. Tumidaj. Tumidaj dlatego, że jak Napoleon wracał z Moskwy, głodny był, pieniędzy też chudziak nie miał, więc zatrzymał się przed karczmą w Dębołękach i powiedział „Tu mi daj zaraz jeść". No i tak Tumidaj się zostało.

Ojciec mój — powiada Krzemiński — więcej wie, ale stary on i głuchy jak pień. Jeszcze do zeszłego roku za koniem mógł iść. Zimą zmogło go jednak i wykaraskać się nie może. Swoje 90 lat zawsze ma.

Rzeczywiście, starzec już na nic nie reaguje. Ludzie nawet nowi i nieznani go nie obchodzą. Jedynie na widok bydła ożywia się. Może i ma rację. A może udaje, że nic nie pamięta. Po co młodsi mają poznawać tajemnice jego zwierzęcego życia? Niech nikt nie wie jak to dawniej było. To przecież właśnie z tych okolic wywodził się Kordian i Cham.

Stary przyglądał mi się długo, wreszcie kiwa na syna (syn ma 65 lat) i prosi, aby mu podał kamień i przyniósł jajko. Syn podaje ojcu żądane przedmioty, stary kładzie je obok na ziemi i uderza laską w kamień. Kamień ani drgnie. Uderza laską w jajko. Pęka skorupa, a biała i żółta plazma rozpryskuje się wokół. Oto jego niema odpowiedź na moje pytania. Tak, wydaje mi się, że zrozumiałem. Kamień jest szary, chropawy, ale twardy i długowieczny. Krzemień — jak Krzemiński. Jajko jest bardziej wykwintnym tworem natury. Ale za pierwszym uderzeniem pęka i wylewa się z niego mazistе białko. Białko — jak Białecki, dziedzic. Stary potakuje, zamyka oczy i wygląda jak umarły. A przecież żyje. I dał też życie ośmiorgu dzieciom, wszyscy z nich żyją. Ród Białeckich wymarł w tym czasie doszczętnie. Ale wnuki starego Mikołaja Krzemińskiego nie chcą znać pracy na roli. Tylko dureń i idealista może twierdzić, że dawni „dworacy" kochają ziemię i ciężką pracę na roli. Oni ziemię nienawidzą, a pracę przeklinają. Wśród byłych parobków, fornali i ordynariuszy największym powodzeniem cieszą się obecnie prace bierne, stróża nocnego, strażaka przemysłowego, strażnika więziennego, dozorcy itp. Przy takich pracach można wypoczywać za cały wysiłek i trud minionych pokoleń. Nie posiadają też wiele ambicji. Łatwiej przecież jarzmo z karku zrzucić, niż grzbiet wyprostować. Żegnam się z całą familią Krzemińskich, starsi kłaniają się po dworsku, nisko, czapkująco. Odjeżdżam...

KAROL BADZIAK

ANDRZEJ OSTOJA

# Z notatnika prokuratora

## Co nas to obchodzi?

**Jest w Łodzi krajobraz jakby żywcem przeniesiony ze Śląska. Smutna, szara równina, na niej gdzieniegdzie zabudowania i kominy fabryczne, tu i ówdzie hałdy żużla, które wznoszą się nad powierzchnią jak małe góry i niekiedy dochodzą do wysokości 15 metrów. Jest to okolica Łódzkich Zakładów Włókien Sztucznych. Na terenie tym znajdują się dwie hałdy gorącego żużla — jedna olbrzymia, na którą zsypuje się żużel w dalszym ciągu, druga mniejsza, równie gorąca, eksploatowana przez betoniarnię Miejskich Zakładów Betoniarskich w Łodzi; jest tam jeszcze trzecia hałda, a właściwie płaskie wysypisko żużla już ochłodzonego, zupełnie zimnego. To stąd powinno się pobierać żużel do wyrobu betonu, ale kierownicy betoniarni wcale tego nie przestrzegało.**

**Hałda eksploatowana przez betoniarnię, mimo że już dawno zaprzestano wywożenia na nią gorącego żużla, była jeszcze bardzo gorąca. Ostudzony żużel znajdował się tylko w wierzchniej warstwie do głębokości 0,5 — 1 metra. Głębiej temperatura wynosiła ponad 100 stopni C. Hałda była nierówna i dość wysoka: 5—8 metrów. Składała się ona, prócz żużla sypkiego, o drobnej granulacji, również ze zwartych brył żużlowych o różnym ciężarze dochodzącym często do wagi kilkuset kilogramów. Bryły te znajdowały się na różnej wysokości zsypiska, a te najwyższe, położone w górnych warstwach, tworzyły niebezpieczne nawisy i niejednokrotnie pod wpływem własnego ciężaru obsuwały się po ścianie hałdy na dół, tym bardziej że kąt nachylenia ścian wynosił częstokroć 70 stopni. Słychać wtedy jakby szum posuwającej się lawiny i głuchy huk na dole.**

**Żużel ładowany był na przyczepy ciągnika i samochodowe wywrotki przez grupę robotników ręcznie, przy pomocy łopat. Robotnicy starali się ładować jedynie warstwy żużla przepalonego, czerwonego, a znajdujący się również w składzie hałdy żużel czarny odrzucali, gdyż mniej nadawał się on do produkcji. Wobec tego, że wybierało się tylko żużel czerwony ukształtowanie zsypiska było tym bardziej nierówne.**

**Mając na względzie te wszystkie okoliczności, tzn.: wysokość hałdy, jej temperaturę niejednolite uwarstwienie i groźne nawisy, eksploatacja była bardzo niebezpieczna, absolutnie niedopuszczalna w myśl przepisów bhp. Ręczne ładowanie żużla w tych warunkach stwarzało ciągłą groźbę wypadku, o czym dobrze wiedział kierownik produkcji inż. Władysław K*) oraz brygadzista Kazimierz S.**

**Już w dniu 22 MAJA 1959 r. technik bhp Eugeniusz W. w piśmie skierowanym do kierownika produkcji przestrzegał, że pobieranie żużla z hałdy jest niewłaściwe i naraża zatrudnionych tam robotników na niebezpieczeństwo w wypadku, który może nastąpić na skutek obsuwania się żużla. Polecał, aby natychmiast usunąć istniejące nawisy i nie dopuszczać do powstawania nowych oraz zabronić wybierania żużla spod występujących nawisów.**

**Kierownik produkcji z brygadzistą zignorowali to polecenie i nie zreformowali w niczym eksploatacji hałdy, a nawet nie pouczyli pracujących tam robotników, aby unikali nawisów.**

**W dniu 6 CZERWCA robotnicy betoniarni Szczepan A. i Zygmunt K zostali poparzeni przez gorący żużel, który obsunął się z górnej warstwy zsypiska. Szczepan A. doznał ciężkich obrażeń ciała.**

**Zdawałoby się, że ten wypadek będzie już wystarczającym ostrzeżeniem dla kierownictwa betoniarni, i że zostaną wyciągnięte z niego odpowiednie wnioski. Niestety, nic podobnego nie nastąpiło. Zdrowie i życie robotników nadal było lekceważone.**

**I znów w dniu 28 LIPCA uległ ciężkim poparzeniom na tej hałdzie robotnik Jan R., który prawie miesiąc musiał przeleżeć w szpitalu.**

**Na kierownictwu ten nowy wypadek nie wywarł najmniejszego wrażenia.**

**W związku z tymi wydarzeniami w dniu 3 SIERPNIA 1959 roku technik bhp wystosował nowe pismo do inż. Władysława K. podkreślając, że powtarzające się wypadki w betoniarni „Widzew" są wynikiem złej organizacji pracy, która prowadzona jest: „bez najmniejszego zachowania ostrożności i bez nadzoru". W dalszym ciągu pisma technik podaje sposoby zabezpieczenia robotników i stwierdza, że: „należy podjąć wszelką ostrożność, ponieważ przy takiej eksploatacji grozi niebezpieczeństwo, któremu winne będzie kierownictwo."**

**W uzupełnieniu powyższego dyrektor betoniarni wydał kierownikowi produkcji ustne polecenie, aby wstrzymać eksploatację gorącej hałdy i pobierać żużel z terenów bezpiecznych.**

**Tymczasem wbrew ostrzeżeniom technika bhp, a także wbrew poleceniu dyrektora, inż. Władysław K. i brygadzista Kazimierz S. wykazywali w dalszym ciągu kompletną obojętność wobec niebezpieczeństwa na podległym im odcinku pracy, a nawet inż K. osobiście wskazał robotnikowi P. miejsce na gorącej, niebezpiecznej hałdzie, skąd miał czerpać żużel.**

**W dniu 4 SIERPNIA inż K. zorganizował odprawę z robotnikami pracującymi przy ładowaniu żużla i stanowczo zabronił im pobierania żużla czarnego, natomiast ani jednym słowem nie wspomniał, że robotnikom nie wolno eksploatować gorącego zsypiska.**

**Dnia 10 SIERPNIA stanowisko kierownika betoniarni objął po brygadziście Kazimierzu S., starszy mistrz produkcji Zbigniew W. Został on powiadomiony przez dyrektora, że nie wolno eksploatować gorącej hałdy. Mimo to wcale nie zainteresował się, o którą hałdę chodzi, i jakkolwiek był na wysypiskach, i widział robotników pracujących na niebezpiecznej hałdzie, nie zabronił im pracy w tym miejscu.**

**Było jasne, że tego rodzaju sytuacja musi wreszcie doprowadzić do katastrofy — i tak się też stało. W dniu 12 sierpnia 1959 r. wskutek obsunięcia się zwałów żużla z górnej warstwy, uległ poparzeniu, a raczej żywcem się usmażył i zmarł w ciężkich cierpieniach robotnik Szczepan K.**

**Mimo tej tragedii, która powinna była wstrząsnąć do głębi zespołem odpowiedzialnym za produkcję — nowy kierownik betoniarni widocznie niewiele się tym przejął, gdyż eksploatację hałdy wstrzymał dopiero 17 sierpnia, a więc w 5 dni po śmiertelnym wypadku, z czego jeszcze 3 dni robotnicy pracowali na tym samym zsypisku, w tym samym miejscu, gdzie tak tragicznie zginął Szczepan K.**

**Jak wykazało śledztwo, osoby odpowiedzialne za organizację pracy i bezpieczeństwo robotników tzn. kierownik produkcji i dwóch kolejnych kierowników betoniarni, zupełnie nie interesowali się sposobem pracy podległych im pracowników, zajmując się tylko i wyłącznie ilościowym wykonaniem planów i normą produkcyjną. Poza planem nie widzieli oni zupełnie ludzi, którym nie stworzono warunków, aby ten plan mogli spokojnie i bezpiecznie wykonać. Żywi, a częstokroć pokaleczeni i poparzeni ludzie nie stanowili dostatecznego argumentu, który mógłby zmienić sposób produkcji. Trzeba było dopiero wypadku usmażenia się żywcem człowieka przy pracy, trzeba było postępowania prokuratorskiego, rozprawy sądowej i wyroku, aby robotnicy w Zakładach Betoniarskich mogli bezpiecznie pracować. Oczywisty, długo trwający stan zagrożenia nie wystarczał; nie wystarczały ostrzeżenia i sygnały alarmowe w postaci trzech wypadków ciężkich poparzeń.**

**Dopiero trup robotnika musiał przypomnieć o konieczności stosowania przepisów o bezpieczeństwie pracy.**

**Należałoby zapytać także, kim byli ci ludzie, którzy tak beztrosko szafowali życiem i zdrowiem podległych sobie pracowników?**

**O jednym wiemy, że jest inżynierem i jako taki zajmował odpowiedzialne stanowisko kierownika produkcji całych zakładów. W chwili wypadku liczył sobie 34 lata. Wykształcenie otrzymał i tytuł uzyskał stosunkowo nie tak dawno, już w nowych warunkach ustrojowych. Na studiach na pewno nie uczono go, że można lekceważyć życie i zdrowie innych ludzi. Przeciwnie. Państwo dając mu dyplom powierzyło mu tym samym w pełni zaufania władzę i opiekę nad robotnikami. Musiał zdawać egzaminy z tak ważnej w jego zawodzie dziedziny, jak stosowanie w praktyce przepisów o bezpieczeństwie pracy. Przeznaczeniem jego zawodu był stały kontakt z robotnikami, za których odpowiadał z racji swoich fachowych wiadomości i zajmowanego stanowiska. Ale on nie wywiązał się z powierzonych zadań i zawiódł pokładane w nim zaufanie. Robotnicy byli dla niego jakimiś automatami wykonującymi plan produkcyjny. Nie zrobił nic, aby nie dopuścić do wypadku, aczkolwiek każdy logicznie myślący człowiek mógł łatwo przewidzieć, że kiedyś nieszczęście musi się zdarzyć.**

**A jego pomocnicy? Dwaj kolejni kierownicy betoniarni? Każdy z nich mógł odmienić ten tragiczny bieg rzeczy, nie zgodzić się na prowadzenie pracy w tych warunkach. Przecież i oni kiedyś byli zwykłymi robotnikami, i oni formowali płyty betonowe, i oni ładowali żużel na wywrotki. Znali tę pracę dokładnie i wiedzieli, jakimi może grozić niebezpieczeństwami, gdy się ją wykonuje bez żadnego zabezpieczenia, na gorącej i obsypującej się hałdzie. Dramat cierpienia i śmierci rozgrywał się na ich oczach, brali w tym dramacie udział, ale pozostali bierni i nieczuli. Na nich stała groźba poparzeń i śmierci nie wywierała żadnego wrażenia. Dla nich jedynie ważne było, aby normę wyrobić i aby premię można było otrzymać. Przecież nie było nic łatwiejszego, jak przenieść pracę na niskie, całkowicie zimne i bezpieczne zsypisko. Ale nie uczyniono tego. Dlaczego? Wyłącznie dlatego, że z gorącej hałdy można było uzyskać nieco szybciej i więcej żużla. Wyłącznie dlatego, że wygodniej było omijać obowiązujące przepisy, udawać, że się ich nie zna i nic o nich nie wie. Wyłącznie dlatego, że obojętność, niesumienność i znieczulica głęboko przeżarły umysły ludzi odpowiedzialnych za tok pracy. Wyłącznie dlatego, iż wbrew logice sądzono iż „jakoś to będzie". Dlatego właśnie młody 26-letni Szczepan K. musiał zginąć i osierocić dwoje dzieci. Dlatego właśnie rokrocznie setki ludzi traci życie w wypadkach przy pracy spowodowanych tylko i wyłącznie lekceważeniem przepisów bhp. Dlatego właśnie trzeba te sprawy stale przypominać, aczkolwiek pozornie są to rzeczy proste i oczywiste.**

*) Imiona i pierwsze litery nazwisk zmieniono.

ROMAN ŁOBODA

# „BIAŁE RUNO"

## *Leona Gomolickiego*

Gomolicki napisał książkę trudną, książkę, która swoją kompozycją, tematyką i klimatem może czytelnikowi, który zna nasze próby podejmowania problematyki zakładów pracy, nasunąć niezbyt przychylne dla niej asocjacje. Łatwo można po przeczytaniu kilku stron tej książki dojść do wniosku, że jest to jeszcze jeden „produkcyjniak", gdzie pozorne słabostki pozytywnych bohaterów zwyciężają czarne charaktery, ukazując całą bezsensowność konfliktu, z góry skazanego na szybkie i szczęśliwe rozwiązanie, zgodne z prawdłowością historyczną, gdzie jednowymiarowe postacie są na ogół utrzymane w dwu tonacjach: durowej i molowej, albo białej i czarnej, i nie ma tam żadnych innych barw i półtonów. W tych utworach nie tylko autorzy, lecz także i czytelnicy z góry wiedzą, kto tu ma rację i kto zwycięży staczając taką na niby walkę.

W związku z powyższym tak ukazywana rzeczywistość jest dziecinnie prosta i łatwa, a walka z jakimikolwiek przeciwnościami jest zwykłą formalnością, przebiegającą automatycznie i zgodnie z tym nie wymagającą ani wysiłku, ani myślenia. Uproszczenia wynikające z takiej lektury pozwalają „spać spokojnie" nie niepokoją czytelnika, nie nasuwają mu żadnych refleksji i napawają optymizmem typu: „jeżeli tak wszystko jest dobrze, to już lepiej być chyba nie może. Te drobne usterki, jeżeli tak dobrze wszystko się układa, usuną się same bez naszego udziału. Człowiek jest istotą znaną do końca i trud drążenia go jest zupełnie zbędny".

Cechy zewnętrzne człowieka, w połączeniu ze sposobem bycia i mówienia na efekt, świadczą o jego wnętrzu i w ten sposób podział na pozytywnych i niepozytywnych obywateli jest niesłychanie prosty według autorów takich oraz podobnych utworów literackich i nie tylko literackich. Ale okres tego typu literatury przeminął i od kilku lat jesteśmy świadkami unikania wszelkich zagadnień produkcyjnych w sztuce, a nawet wyraźnych zbliżeń, w obawie przed stworzeniem „produkcyjniaka" lub czegoś na pograniczu tej „konwencji".

Po tych wszystkich doświadczeniach już sama próba ukazania ludzi w ich zakładach pracy w sposób realistyczny, a nie nadrealistyczny lub groteskowy, napawa nieufnością. Podjęcie zatem tego tematu w „Białym runie" przez Leona Gomolickiego musiało być podyktowane obsesją tematyczną, a jej rozładowanie wymagało znalezienia formy, która nie byłaby schematem produkcyjniaków".

Dobre doświadczenie i wzory w naszej literaturze, dla tego typu utworów, nie mogły dać autorowi „Białego runa" żadnego oparcia, z tej prostej przyczyny, że są za nikłe. Stworzenie „antyprodukcyjniaka" nie pozwoliłoby autorowi na pisanie z autopsji i nie zrzuciłby z siebie z takim trudem i poświęceniem (o czym sam pisze w tej książce) nabytego doświadczenia.

Trudno tylko pisarzy (artystów) obciążać winą za popełnione „produkcyjniaki". Gwałtowny rozwój techniki z całą jaskrawością ukazał po wojnie i u nas dysproporcje między zakładami przemysłowymi starego typu, całą nieudolność w ich przekształcaniu i organizowaniu, brak ludzi przygotowanych do tych zadań — a zakładami nowego typu, w których nawet usterki organizacyjne i produkcyjne rozpraszały się w optymistycznym świetle ogólnej zasady postępu.

Pierwsza część książki: „Wywiad" wprowadza czytelnika do przędzalni. Kierownik „Afryki", najbardziej zaniedbanego oddziału zakładu, opowiada autorowi dzieje swojej pracy w tym zakładzie. Jest naiwny i bezbronny, a jego często bezkompromisowa, uczciwość pozostaje wartością tylko dla niego, a doraźnie, jak dla organizatora, jest zbyt mało przydatna, co zresztą później autor sam stwierdza. „Wywiad" w „Białym runie" ma być tą częścią, która ze względu na fabułę, realia i klimat ma z „Białego runa" uczynić powieść. Gomolicki jest wspomnieniowcem. Jego książki, które osobiście wysoko cenię, nie są udramatyzowane na wiele postaci. Są kameralne w sensie instrumentacji. Dominuje w nich jeden instrument; instrument głosu bohatera o zabarwieniu lirycznym. Stąd „Wywiad", o założeniach scenerii, gdzie autor chce pokazać atmosferę „Afryki", specyfikę zbiorowości, jej charakter epicki, który jest pełen dobrych realiów, doskonałej obserwacji szczegółu i drobnych uogólnień, w zasadzie scenerii i jej plastyki nie ukazuje. Możliwe także, że należy ostrożnie pisać o przedmiocie, który zna się zbyt dobrze, gdyż przez zbytnie zbliżenie zatraca się obiektywną miarę wartości tego przedmiotu. Może właśnie to, ta tak pedantycznie i z nakładem sił nabyta wiedza o szczególe, przeszkadzała nieco autorowi w odejściu od niego i uchwyceniu w ogólne sformułowania istoty i egzotyki zjawiska zwanego „Afryką".

I dopiero, gdy cienki tenor wszystkowidzącego a bezradnego kierownika urywa się, a do głosu dochodzi obsesyjny pucer — rzecz nabiera rumieńców. Gomolicki jest sobą. Jest precyzyjny i pełen głębokiej wiedzy o tego typu szlachetnych urazowcach, którzy przewijają się w jego powieściach. Donkiszoteria pucera jest tu symbolem, znów, jak u opowiadającego swoje dzieje kierownika „Afryki", naiwnej szlachetności, ale już aktywnej, walczącej, nie odróżniającej jednak rzeczy istotnych od błahych, pełnej nawarstwionych urazów, a przez to dziwacznej i nietolerancyjnej w stosunkach z ludźmi, którzy na tolerancję zasługują. Mimo to i przez to, jest pucer postacią żywą, prawdziwą i wzbudzającą sympatię. Nie inkrustowany obraz „Afryki", ale właśnie on, pucer robi z tej części książki („Wywiad") powieść, która wciąga, budzi zainteresowanie i niepokój. Jego zapiski, „złote myśli", które rzeczywiście są miejscami ze szlachetnego kruszcu, mają smak autentyzmu tak myślowego, jak i językowego. W ogóle ludzie w tej książce mówią prawdziwym językiem swego środowiska i myślą charakterystycznymi uproszczeniami, poza kilkoma fragmentami przesady w kierunku nieporadności. Prawdziwość języka w tej konwencji jest również sukcesem pisarza biorącego z życia, z przeżycia.

Autentyczność przeżycia i pamiętnikarsko - wyznaniowy ton ostatniej części tej interesującej książki (komentarz obserwatora) nie pozwalają na rozpatrywanie jej jako czystej formy powieściowej. Części wyraźnie nie mające charakteru powieści w połączeniu z częścią fabularną, w której fikcja artystyczna jest tylko spoiwem dla przypomnień i refleksji autora, dają zróżnicowany i oryginalny gatunek literacki.

Ta niejednolitość zaciera się, zestroja ją jedność stylu, rzetelność obserwacji, zaangażowanie osobiste w przedmiocie i prawdziwość relacji, która napotyka czytelnik w całej powieści, jak sam autor „Białe runo" nazywa.

— 105 —

## TOM CANTY MEETS THE PRINCE

after Mark Twain

One day Tom Canty got up hungry, and he was hungry when he went for a walk.

He walked and walked and walked. Suddenly he came to the King's Palace.

Little Tom, in his dirty old clothes, went up to the gates of the palace. He looked at the soldiers who were standing there.

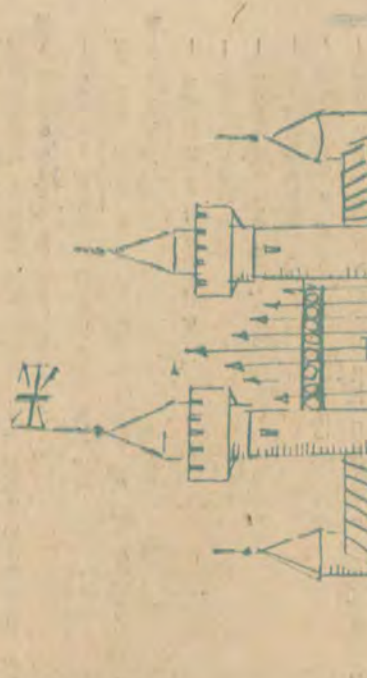

— 108 —

— Oh, I want to do that too. Tell me more.

— We dance and we sing near the river, we play in the water and...

— I want very much to play in the water. I want to have your clothes. I want to walk without shoes. I want to play in the water.

— And I want very much to put on your beautiful clothes, sir.

— But only for a few minutes.

So Tom Canty put on the prince's beautiful clothes and the prince put on Tom's dirty old clothes. Then they went up to a great mirror and looked in it. At last the prince said:

— Do you see that we look like each other? Your hair is like my hair, your eyes are like my eyes, your face is like my face. You are as big as I am, too. And you speak like me.

Suddenly he saw a big blue mark on Tom's hand.

— Did the soldier do that to your hand?

— Oh, it is nothing.

— Oh, yes, it is, I shall speak to that soldier. Wait here. I shall come back at once.

The prince ran out of the room and cried to the soldiers:

— Open the gates!

The soldiers opened the gates and pushed the prince into the street. The prince fell down, and the people near the palace began to laugh.

The prince jumped up and ran to the soldiers. He cried:

— Open the gates! I am the prince!

But the soldiers and the people only laughed.

— 105 —

## BEIM FRISEUR

Zum Friseur kommt ein armer Mann. Er hat einen starken und schwarzen Bart. Niemand will diesen Mann rasieren, weil er kein Geld hat. Er sagt zum Friseur:

— Wollen Sie mich rasieren? Aber ich habe kein Geld.

Der Friseur antwortet:

— Setzen Sie sich. Ich rasiere Sie ohne Geld.

Der arme Mann setzt sich auf einen Stuhl vor den Spiegel. Der Friseur nimmt ein schlechtes Rasiermesser. Wenn er ohne Geld rasiert, nimmt er immer ein schlechtes Rasiermesser.

Der Friseur beginnt seine Arbeit. Der arme Mann sitzt ruhig. Er sagt kein Wort, obwohl das Rasiermesser sehr schlecht ist. Er darf nichts sagen, weil er doch kein Geld hat.

Plötzlich heult der Hund des Friseurs auf dem Hof. Der Hund heult sehr laut. Der Friseur fragt:

— Warum heult der Hund so?

— Ich weiss nicht, — antwortet der Sohn des Friseurs.

— Ich weiss auch nicht, — sagt die Tochter des Friseurs.

Der arme Mann antwortet:

— Ich weiss, warum der Hund heult. Er wird wohl ohne Geld rasiert, wie ich.

— 108 —

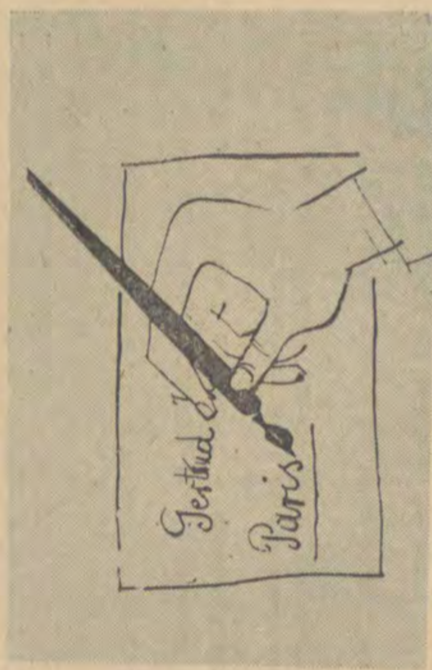


...eine liebe Schwester! Ich danke Dir für Deinen schönen Brief. Ich freue mich, dass Du wieder nach Hause kommst. Ich will Dir mein Haus verkaufen.

Meine Frau und ich grüssen Dich herzlichst.

Dein Bruder Franz".

Jetzt ging der alte Mann auf die Post. Eh kaufte eine Briefmarke, klebte sie auf den Briefumschlag und gab den Brief dem Postmeister. Dieser sagte:

— Hier ist keine Adresse auf dem Briefumschlag.

— Ja, wissen Sie, schreiben Sie einfach: Gertrud Weiss, Paris... Das wird genügen.

— Nein, ich muss die genaue Adresse schreiben. Paris ist sehr gross.

Der alte Mann antwortete:

— Nein, die genaue Adresse bekommen Sie nicht. Sie haben ja auch ein Haus zu verkaufen.

TADEUSZ PAPIER

# Magdalena o rannej godzinie

**15**

**Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny" przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wróciła do matki. Zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjaciółki trafiły właśnie na ślub Ireny. Nie którzy goście weselni, zwłaszcza kolega pana młodego Tosiek, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie czekały już końca wesela i pojechały na Chojny, do ciotki. Tymczasem Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zatelefonował do nich i zaproponował spotkanie w Grandce.**

**Od tej — nieudanej zresztą randki zaczyna się nowa seria przygód naszych bohaterek. A więc najpierw Geograf namawia Magdę do kontynuowania nauki. Kostek, syn Geografa, zakochany w Magdzie, zaprasza ją do Domu Kultury na zabawę. Pojawia się na scenie Narcyz. Wreszcie Mariola znika na całe dnie z domu i to najbardziej niepokoi Magdę.**

Zdrzemnęłam się w końcu nad tą książką, przyśniły mi się różne wariactwa, pan nie uwierzy, jakieś groby, podziemne korytarze, którymi błądziłam, okropne rzeczy. Nie chcę nawet mówić. Obudziłam się późno, już był wieczór, poszłam do domu. Ciotka była zła jak diabli. „No wiesz, Magda — zawołała na mój widok — nie spodziewałam się tego po tobie. Nic a nic w domu nie zrobiłaś". Rzeczywiście, mieszkanie wyglądało okropnie, ciotka dopiero zabierała się do roboty. „Masz tu list" — powiedziała. Rzuciłam okiem na kopertę i poznałam pismo Kostka. „Nie czytasz?" — zapytała ciotka. „Nie — odpowiedziałam. — Jeśli ciocia chce, to może przeczytać. Nie bronię". „Jesteś coraz gorsza" — stwierdziła ciotka. „Być może — odparłam. — Nie moja wina, że taka jestem". „Dzwoniła Iśka" — głos ciotki był coraz bardziej oschły i zdawkowy. „I co?" — zapytałam w tym samym tonie. „Przypomina, że jesteś z nią umówiona. I z Witkiem. Co to za jeden?" — zapytała podejrzliwie. „Kierownik Domu Kultury" — rzekłam. „Aha, więc to ten". „Owszem — odparłam. — To ten". Moglibyśmy w ten sposób gadać do samego rana. Ciotka wreszcie zdenerwowała się. „Słuchaj, Magda, jeśli chcesz, żebyśmy żyły w zgodzie, to musisz mi wszystko opowiedzieć. Co robiłaś dzisiaj?". „No jakże — odparłam ze złością. — Przecież od godziny nic innego ci nie mówię". „No więc? Co robiłaś?" — ciotka nie ustępowała. Więc odpowiedziałam, że byłam u Geografa i potem odrabiałam lekcje, to znaczy czytałam książkę, którą mi dał Geograf. Ogromnie zajmująca książka i zasiedziałam się nad nią. Żeby pan widział, jak się zmieniła twarz ciotki. „Coś ty, Magda, naprawdę czytałaś?". „Niech ciocia zadzwoni do Globusa i sprawdzi". „I Geograf dał ci tę książkę?". „Z pewnością nie Tosiek, ani Mariola" — odparłam. „Ach Magda, a ja głupia, myślałam Bóg wie co!".

Iśka nazajutrz zadzwoniła i ucięłam z nią dłuższą gadkę. Nie chciałam się zgodzić na spotkanie, bo miał być Witek i Kostek, wyobrażałam sobie, o czym będzie mowa, ale Iśka za nic nie chciała ustąpić. „Musisz przyjść — powiedziała — chłopaki już czekają". „To cóż z tego" — odparłam. „Jeśli ty nie przyjdziesz, to my przyjedziemy po ciebie" — zagroziła mi Iśka. Więc co miałam robić, zgodziłam się w końcu. Pan zobaczy, czy wyszło mi to na zdrowie.

Więc pojechałam. Iśka, Witek i Kostek czekali na mnie w Grandce, co pan powie, siedzieli przy tym samym stoliku, przy którym urzędowaliśmy kiedyś z Borutą, w tej drugiej sali, w Tramwaju. No ale nic, przywitałam się, chłopaki podali ręce, Iśka mnie po swojemu ucałowała. Kostek był bardzo zadowolony, gadał bez przerwy, proszę sobie wyobrazić, zachowywał się tak, jakbym była jego urzędową babką, nie mogłam tego zrozumieć. Dopiero później w domu doszłam, skąd mu się wzięło na takie dowcipy, zagadka tkwiła w tym ostatnim liście, wariat, napisał do mnie, że jeśli przyjdę na to spotkanie, to będzie oznaczać, że nie jestem zła na niego. A ja, Boże kochany, listu nie czytałam. Mam więcej takich nie czytanych wyznań Kostka, jeśli pan sobie życzy, mogę je pokazać, może się na co przydadzą. Więc to qui pro quo było bardzo zabawne, pan sobie wyobraża, jak Kostek się zachowywał, i wszyscy się śmiali, ale każdy z czego innego. „Niech skonam, Magda, z każdym dniem jesteś coraz fajniejsza". — zawołała Iśka i pocałowała mnie w usta. „Potwierdzam" — rzekł Witek.

W końcu to spotkanie nie byłoby takie najgorsze. Witek powtórzył swoją propozycję, wie pan, chodziło o ten zespół aktorski i wszyscy zaczęli nalegać na mnie, żebym się zgodziła. Iśka po prostu szalała, aż się ludzie zaczęli na nas oglądać, myśleli, że naprawdę jestem aktorką. „Nie warto facetowi odmawiać — Iśka nazywała Witka facetem — uparty jest, lepiej mu ustąpić".

„Ależ ja nie mam o tym zielonego pojęcia" — powiedziałam. „Nie broń się, Magda — rzekł Witek. — Znam się na tym. Przydasz się nam". „Guzik — orzekłam. — Nic z tego nie będzie". „Witek, przyślij po nią milicjanta" — rzekł Kostek. „Słowo daję, to niezły pomysł — zawołała Iśka. — Magda, jeśli się nie zgodzisz, to MO cię przyprowadzi. Znam jednego faceta, pracuje na Sienkiewicza, pójdzie na to". Nie muszę mówić, jaki to był głupi pomysł z tym milicjantem, tylko Kostek mógł wpaść na to. Dałam mu do zrozumienia, że się porządnie wydurnił, wariat, śmiał się, jakby powiedział najlepszy ka-

Dalszy ciąg na str. 10

Then he saw a boy in the garden of the palace. The boy was very beautiful. Tom said:

— That boy is a prince. I want to look at him.

So he went up to the gates and looked into the garden.

One of the soldiers saw Tom and pushed him away. The people who were standing near the palace, saw it and began to laugh.

The prince saw the boy. He ran up to the gates and cried:

— Open the gates! Come in, boy!

The soldier opened the gates, and little Tom went in. The prince looked at him. He said:

— You are hungry. Come with me, boy.

He took Tom to a beautiful room in the palace. The prince asked:

— What is your name, boy?

— Tom Canty, sir.

— Where do you live?

— In Offal Court, sir.

— Have you a father and mother?

— Yes, sir. I have a father and mother, a grandmother and two sisters.

— How old are your sisters?

— They are fifteen, sir.

— I have sisters too. One of them is fourteen. She is very nice. But my other sister is not good to her servants. Are your sisters good to their servants?

— Oh, do you think that my sisters have servants?



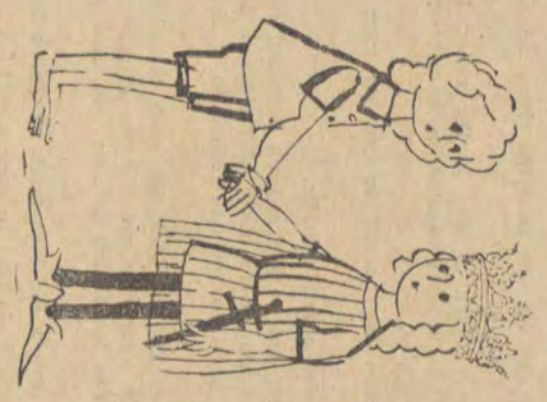

— Why not? Who helps them to dress in the morning and take off their clothes at night?

— Nobody, sir. Do you think that they take off their clothes at night and sleep without them?

— Have they only one dress?

— Yes, sir, they have only one body, so they have only one dress.

— Is your life very hard in Offal Court?

— No, not very hard. Only when I am hungry. But we boys in Offal Court often laugh and play. In summer we have very much time to play. We often play in the river.



## EIN BRIEF

Ein alter Mann sass vor seinem Haus auf einer Bank. Er rauchte eine Pfeife. Der Tag war sehr schön. Da kam der Briefträger und sagte:

— Herr Weiss, ich habe einen Brief für Sie.

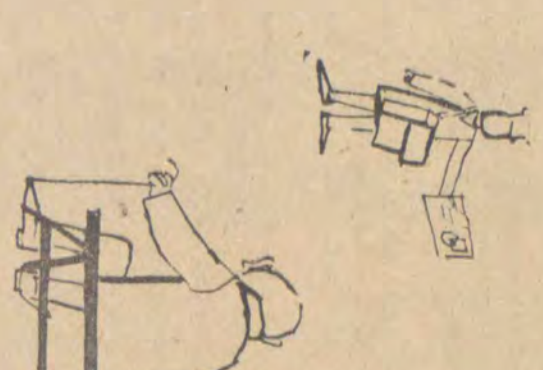



— Für mich? — fragte erstaunt der alte Mann.

— Ja, hier ist er, aus Paris.

— Aus Paris?

Der alte Mann nahm den Brief in die Hand. Er schaute auf die Adresse, dann auf die schöne Briefmarke und rief seine Frau:

— Mathilde, ich habe einen Brief aus Paris bekommen!

— Do Gott im Himmel, aus Paris! — antwortete die Frau des alten Mannes.

Die Frau kam. Sie nahm den Brief in die Hand. Sie schaute auf die Adresse, dann auf die schöne Briefmarke und sagte kein Wort.

Der Briefträger sah die Freude des alten Mannes und seiner Frau. Er sagte:

— Machen Sie den Brief auf und lesen Sie ihn.

Der alte Mann antwortete:

— Ja, ich kann den Brief aufmachen, aber ich kann nicht lesen.

— Geben Sie mir den Brief, — sagte der Briefträger.

Er nahm den Brief und las:

„Mein lieber Bruder! Ich lebe schon achtzehn Jahre in Paris. Das Leben war hier sehr schön, aber ich möchte wieder zu Hause sein. Ich habe etwas Geld und möchte mir ein kleines Haus kaufen. Vielleicht verkaufst Du mir Dein Haus?

Wie geht es Dir und Deiner Frau? Antworte bald! Ich grüsse Dich und Deine Frau herzlichst.

Deine Schwester Gertrud".

Sofort ging der alte Mann zu seinem Freund, der schreiben konnte. Er schrieb die Antwort:

# Dalszy ciąg ze str. 9

wał. Ale w końcu był to tylko żart.

Więc mówię, to spotkanie nie byłoby nawet najgorsze, ale cały czas nie mogłam się pozbyć pewnego niepokoju. Nie wiem, skąd on się rodził, może po wczorajszym śnie. Mówiłam już, często miewam sny, po których trudno mi przyjść do siebie i ten wczorajszy sen z grobami był taki męczący. Przypomina pan sobie, co mi się śniło na parę dni przed aresztowaniem, można by to uznać za proroctwo, gdybym wierzyła w takie bzdury. Pan twierdzi, że ten niepokój zrodził się po lekturze „Klementyny"? Być może, że tak, nie przeczę. Dziękuję, obejdzie się bez pocieszenia, jeszcze nie stoję nad grobem.

Więc wszyscy przy naszym stoliku się śmiali i ja też się śmiałam, ale w duchu byłam niespokojna. I proszę sobie wyobrazić, kogo naraz zobaczyłam. Przy sąsiednim stoliku siedział Narcyz z Ryżym i obydwaj szczerzyli do mnie zęby jak wariaci. Narcyz kiwnął na mnie palcem, dawał mi znaki, żebym się przysiadła do niego, ale nie odpowiedziałam na taką zachętę, więc wstał i przyszedł do nas. Był podpity, nie za bardzo, ale nie trzymał się za pewnie. „Serwus, Magda, co słychać?" — zapytał pochylając się nade mną. „Dziękuję, wszystko w porządku" — odpowiedziałam. Chciał usiąść przy naszym stoliku, ale miejsca nie było, więc wsparł się na poręczy mojego fotela.

„Może mnie przedstawisz?" — zapytał. Nie czekał zresztą mojej prezentacji i podał po kolei rękę każdemu. „No, my się już znamy" — rzekł do Kostka. Nie powiem, żebym była zachwycona tym spotkaniem. Chłopaki też byli oziębli, zwłaszcza Kostek. Natomiast Iśka spoglądała na Narcyza ciekawie. W ogóle Iśka podchodziła do wszystkich z wariackimi papierami, nie dziwiłam się jej. Narcyz w lot dostrzegł, że Iśka się nim zainteresowała i zaczął się zgrywać na całego. „Wiecie co — powiedział — likwidujcie interes, pójdziemy do mnie". „Dobrze, ale po co?" — zapytała Iśka. „Jak to po co?" — oburzył się Narcyz. Przywołał Ryżego i przedstawił go. „Powiedz, Ryży — rzekł wskazując palcem na Iśkę — po co do nas się idzie. Wytłumacz tej małej". Iśka parsknęła śmiechem. „Miły facet z ciebie, Narcyz — odpowiedziała — ale do ciebie nie pójdziemy". „Dlaczego?" — oburzył się Narcyz. Był dotknięty odmową Iśki. Ryży próbował go uspokoić, ale ten zaczął się jeszcze więcej zgrywać. Ryży uzyskał tylko tyle, że Narcyz już nie podnosił głosu. Stłumionym basem zaczął nas zachęcać do opuszczenia lokalu. „Kochani, ależ nam będzie wesoło. Powiedz, Magda, że ze mną jest wesoło. Zatankujemy się za wszystkie czasy". „Owszem — powiedziałam — u ciebie można się zatankować. Ale popieram Iśkę. Nie pójdziemy". „Przepraszamy cię, Narcyz, nie możemy iść" — rzekł Kostek.

Wiedziałam, że skończy się na drace. Narcyz wstał, podczesał ręką swoje ufalowane włosy i powiedział: „Magda, powiem ci coś, co cię zaciekawi". „Bardzo wątpię" — odparłam sucho. „Ja ci jednak powiem. Twoi kumple z mamra zasyłają ci ukłony". Nie chcę mówić, jak słowa Narcyza przyjęła Iśka i jak Kostek. Byłam po prostu zdruzgotana. Zapomniałam języka w gębie. Wydaje mi się, że to jedno zdanie wystarczyło, aby wszystkim otworzyły się oczy. Nie trzeba było dodatkowych wyjaśnień. Wszystko naraz stało się proste i zrozumiałe. Ryży szarpał Narcyza za rękaw, ale Narcyz nachylił się nade mną i w dalszym ciągu mnie sypał. Odwalił mój życiorys tak dokładnie, że lepiej nie trzeba. Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć. Pamięta pan, jak mnie Długi rozbierał do naga i fotografował? Otóż to. Wtedy nie wiedziałam, że jestem rozebrana. A teraz czułam się tak, jakby mnie nagą obnosili po ulicach. Może pan wytłumaczy, dlaczego tak się czułam.

Więc byłam blada jak kreda, Kostek potem powiedział, że przypominałam upiora i plotłam zdania bez związku, że jak płacić, to płacić, to znowu jakieś głupstwa o sędziach. Iśka była przerażona, Kostek zerwał się i byłby się pobił z Narcyzem, gdyby nie Ryży i Witek. Obydwaj ich rozdzielili i Narcyz jakby nagle oprzytomniał. Boże święty, nie mogę zrozumieć, co nim powodowało, chciał mnie pocałować w rękę i najzupełniej normalnym głosem powiedział: „Cześć chłopcy". Ryży wziął go pod rękę i odeszli. Już teraz nie wiem, co sądzić, był naprawdę pijany, czy też rozmyślnie odstawiał drakę.

Iśka zawołała: „Magda, czyś ty miała coś z tym wariatem?" Nic nie odpowiedziałam, zerwałam się i wybiegłam z kawiarni. Nie wiem, czy mnie kto gonił, zresztą za nic w świecie nie wróciłabym do nich. Wmieszałam się między ludzi i szłam przed siebie, sama nie wiedziałam, w jakim kierunku. Ocknęłam się dopiero na Placu Wolności. Musiałam mieć nie bardzo wyraźną minę, bo podszedł do mnie milicjant i zapytał, czy nie potrzeba mi pomocy. Wzruszyłam ramionami i poszłam dalej. Milicjant, młody chłopak, przystanął pod studnią i widziałam, że mnie obserwował. Więc przedefilowałam kilka razy obok niego, potem skręciłam w Piotrkowską.

Boże święty, nie będę pana zanudzać opowiadaniem o mojej włóczędze. Powiem tylko, że chodziłam po ulicach prawie do północy. Na Kościuszki wsiadłam do siódemki. Tramwaj nie był przepełniony. Wracali do domów ostatni przechodnie. Wracał nawet dziadek z brodą, który jeździ tramwajami i zarabia grą na harmonii. Znam go z widzenia, mieszka również na Chojnach. Strasznie fajny gość, wygląda jak święty z obrazka, ale jaki jest naprawdę, to nie wiem. Dziadek grał staromodne walce, nie mogłam tego słuchać. Wyszłam na przedni pomost, za mną jakiś facet, wiedziałam, do czego zmierzał. Wypadało, abym znowu zagrała rolę jakiej Armidy, albo raczej Lolity, bo facet był starszy, miał dobrze po czterdziestce. Pan widzi, jak mnie życie wyedukowało. Gość się przysuwał coraz bliżej, nie mnie brać na takie kawały. „Więc co?" — powiedziałam. Facet przypominał mi z zachowania tego Albina, którego kiedyś tak okantowaliśmy. Wydał mi się obrzydliwy. Przed katedrą nagle wysiadłam, a tramwaj ze starym grajkiem i facetem na pomoście pojechał dalej. Nie, proszę pana, ten facet nie ma tu nic do rzeczy. Nie polowałam na przygodę. Gdyby tak było, to zostałabym z Narcyzem i z Ryżym. Dziękuję. Po prostu, postanowiłam wysiąść i koniec. Więc wysiadłam. Zaraz pan usłyszy czy dobrze zrobiłam.

D. c. n.

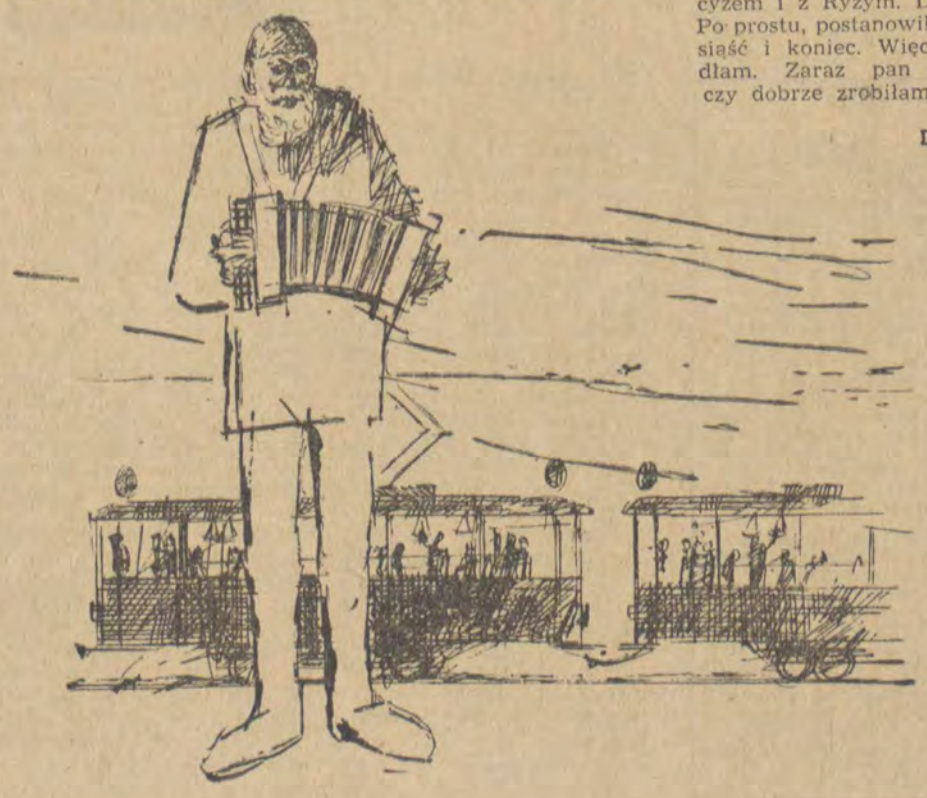

# JAŁOWE DYSPUTY

Bardziej etykietalnego określenia nie sposób zastosować do trwających od szeregu miesięcy akademickich polemik wśród recenzentów telewizyjnych na temat Teatru Popularnego. Co premiera — a już, chwała Bogu, odbyła sie szósta — to w dyskurs. Od pół roku ciągną się te niekończące się, i dowolne mocno przymiarki kostiumu dla Teatru Popularnego. Co krytyk, to inny wykrój, inny styl. Ale jedno jest pewne, że Teatr Popularny powinien znaleźć się tak uprzejmie oraz uniwersalnie, aby zaspokoić żądania wszystkich po kolei oraz wszystkich razem. Jedni zaś zgłaszają zastrzeżenia co do wyboru repertuarowego: przeciwko pierwszym pozyciom Teatru wnoszono zarzut, że były one zbyt „poważne", przez co nie spełniały kryterium „popularności" Teatru, bowiem od sztuk „trudnych" jest Telewizyjny Teatr Poniedziałkowy. (A na marginesie: dziwne, że ci sami krytycy, jak na przykład Adam Ostrowski z Radia i Telewizji nie zgłaszali pretensji pod adresem Teatru Poniedziałkowego o wystawianie sztuk zbyt „lekkich", wybitnie komediowych pozycji. „Szkoła żon" Moliera, „Niepotrzebne zaloty" Shawa. „Konsekwentna żona" Maughama również pozostawały wobec tego w sprzeczności z analityczną koncepcją tegoż Teatru).

Po trzecim spektaklu Teatru Popularnego posypały się gromy (nawet w „Trybunie Ludu" J. Siekierskiej) za adaptację właśnie „Kongresu we Florencji" Iwaszkiewicza. bo dlaczego „Kongres", a nie jakieś inne opowiadanie. a w ogóle dlaczego Iwaszkiewicz, a w ogóle dlaczego — adaptacja?

Gdy Teatr przedstawił „List" Fredry, znowu niezadowolenie: tak mało znana farsa Fredry — więc po co? kiedy znalazłyby się celniejsze komedie tego autora.

Dyskusje rzeczywiście odbywały się wszechstronnie i wielokierunkowo. Adaptacja — źle. Adaptacja nie należy do kompetencji Teatru Popularnego. Tylko utwór dramatyczny. I szczegóły — jaki to powinien być utwór. Jeszcze trochę. a chyba będzie można zacząć się spodziewać porad w sprawie wyboru reżysera, czy obsady ról aktorami.

Dobry Boże, każdy, usiłujący zobiektywizować swoje subiektywne recenzje, czy to w tygodnikach kulturalnych, specjalistycznych, czy nawet w prasie codziennej, nie omieszkał dorzucić własnej opinii na temat polityki repertuarowej Teatru Popularnego. Zupełnie, jakby zamiast Teatru utworzył się zespół amatorski, stawiający pierwsze, niemowlęce i trochę debilowate kroki, bo nawet nie pojmujący swojej własnej nazwy „p o p u l a r n y".

Jeszcze przed oficjalnym narodzeniem Teatru Popularnego nie zabrakło dobrych wujaszków, wypracowujących dla niego kierunek artystyczny i repertuarowy. Sypały się dobre rady: jaki powinien być, co mu wolno, a czego nie wolno. A ponieważ dyskusja ciągnie się przeszło pół roku, i wciąż o tym samym, można sobie wyrozumować całkiem prosto, że to właśnie krytyka telewizyjna zapomniała, albo nie zrozumiała, tak jednoznacznego i tak bardzo nieskomplikowanego do definicji terminu jak „p o p u l a r n y".

Napisanie sumiennej, rzetelnej i analitycznej recenzji ze spektaklu telewizyjnego musi nastreczać ogromne trudności — to zrozumiałe. Bo z filmową recenzją, czy z teatralną kłopotów nie ma, tradycje w tym zakresie bogate, zawsze jakiś schemacik się podpasuje i recenzja gotowa, ale jak wykoncypować telewizyjną? O, nie tak łatwo, problem cały, teatr i film jednocześnie, ale naprawdę, to ani teatr, ani film, tylko właśnie telewizja.

Trudność natury obiektywnej, przyznaję. Jednak krytyka telewizyjna musi być, no bo jakże inaczej? — wiec i recenzenci telewizyjni też sa potrzebni oczywiście, lepiej zastanowić się nad generaliami, niż nad konkretami. No to i recenzja telewizyjna ze spektaklu wygląda tak: trzy czwarte treści poświeca się na dogłębną analize: słuszne — li czy niesłuszne, dlaczego akurat to, a nie tamto, a później: reżyseria — tu odpowiednie nazwisko oraz kilka przymiotników — aktorzy — tu oczywiście nazwiska oraz kilka dalszych przymiotników. I tak otrzymujemy recenzje telewizyjną.

Ale. żeby takie słówko proste jak P o p u l a r n y, nastreczało trudności, no, no, to trzeba mieć głowę nie od parady...

Zdawać by się mogło, że po pisemnym wyjaśnieniu naczelnego dyrektora ŁOT-u, Władysława Orłowskiego "Co to jest Teatr Popularny" („Radio i Telewizja", nr 28, 8 lipca) wątpliwości zanikną.

Ale nie. Wcale nie.

I dlatego — przepraszam najmocniej, jak długo można przelewać z pustego w próżne? Jak dotąd, wszystko wskazuje, że i owszem, nawet bardzo długo można. Ale chyba czas najwyższy skończyć te zabawe. Czyżby samym autorom jeszcze się nie znudziła?

**KOWALSKI**

*Stanisław Łapiński i Ludwik Benoit w ostatnim spektaklu Teatru Popularnego pt. „Nuda jesienna" — Niekrasowa*
*Fot. Z. Krajewski*

## polecamy audycje

Dzisiejsze „przedpołudnie" programu telewizyjnego zajmie transmisja z Lekkoatletycznych Mistrzostw Europy: od godz. 16,30 do 19,30. O 19,30 — Dziennik Telewizyjny. O 20,10 kolejny program publicystyczny Tadeusza Kolińskiego „Fakty i pogiądy". Wszystkich telewidzów ucieszy z pewnością wznowienie w teatrze Kobra widowiska P. Hamiltona „Gasnący płomień". Było to bowiem jedno z najlepszych przedstawień w historii teatru Kobry. W rolach głównych: Zofia Mrozowska, Andrzej Łapicki, Stanisław Jasiukiewicz. Chociaż wiadomo, że po Kobrze trudno o odpowiedni nastrój, radzimy jednak nie ominąć programu publicystycznego Zofii Doroszowej „Do rodziców i wychowawców". Będzie to rozmowa pomiędzy wybitnymi polskimi pedagogami a rodzicami, w której obydwie strony wysuną wspólnie tematykę do przyszłych audycji z tego cyklu.

Piątek upłynie pod znakiem sportu. O 17,30 (z przerwą na dziennik) do 21, sprawozdanie z Mistrzostw Europy. O 21 program z cyklu: „W pracowniach polskich uczonych" przedstawi „Reaktor atomowy z bliska". Ostatnią pozycją piątkowego programu TV jest Młodzieżowe Studio Poetyckie.

Sobota, poza stałymi pozycjami: kolejnym odcinkiem filmu „Opowieści znad rzeki" (godz. 16,10), Pegazem (godz. 20,35), pokaże nam o 16,30 czwarty dzień Lekkoatletycznych Mistrzostw Europy, a o godzinie 20 nastąpi otwarcie VI Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej. Inauguracyjny koncert — IV Symfonię Karola Szymanowskiego wykona Orkiestra Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Witolda Rowickiego. Solistka: Barbara Hesse-Bukowska. Wreszcie, o 21,30 zobaczymy świetną komedię F. Marceau „Jajko". W roli głównej — Wieńczysław Gliński.

Niedziela również urozmaicona. Dla dzieci i dorosłych o 13,10 „Ucieczka kaczora Donalda". O 14,15 Zakopane przedstawi operę góralską „Jadwisia spod regli" w wykonaniu Regionalnego Zespołu „Podhale". O 15 — tradycyjna „Niedzielna Biesiada". O 15,40 — program dla najmłodszych. Od 16,30 do 19,30 sprawozdanie z Mistrzostw Europy. Po Dzienniku Telewizyjnym recital aktorski Ireny Eichlerówny. Program niedzieli zakończy angielska komedia obyczajowa „Wakacje".

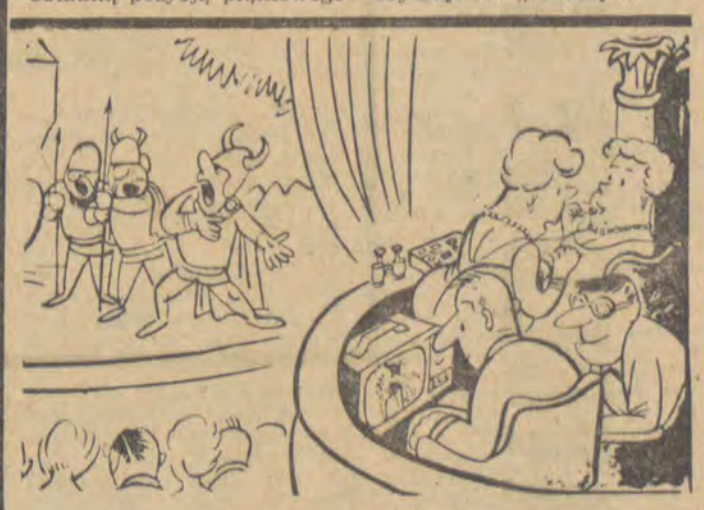

Bez słów

## ZE ŚWIATA

*Nie ulega wątpliwości, że najpopularniejszym piosenkarzem telewizji amerykańskiej jest Perry C o m o. Podobnie jak Jerry L e w i s czy Ed S u l l i v a n, posiada on cotygodniowy własny program. Jego „show" nie grzeszy jednak zbyt wysokim poziomem artystycznym. Na tle bogatych, ale trudno powiedzieć, żeby gustownych dekoracji pokazuje C o m o rewię, w której jest oczywiście pierwszoplanową postacią. Same piosenki wykonuje bardzo dobrze, posiada miły, ciepły baryton, który zjednał mu miliony zwolenników, twierdzących, że S i n a t r a w porównaniu z C o m o staje się przeciętnym piosenkarzem. Niestety, Como robi wszystko, by w swoim programie zmieścić jak najwięcej reklamy, toteż jego „show" jest niezwykle rentownym. „Kokosy" można zbierać zachwalając płyny do włosów, wędzone sery, mydła toaletowe, a Como reklamuje wszystko, co się tylko da. Jeszcze przed 1950 rokiem Como był fryzjerem we włoskiej dzielnicy Montrealu w Kanadzie. W ciągu paru lat zrobił zawrotną karierę i dziś (chociaż jego gwiazda zaczyna po maleńku blednąć), nadal należy do najbogatszych i najbardziej popularnych piosenkarzy USA.*

* * *

*Amerykański tygodnik „Wiek reklamy" („Advertising Age") dał kilka drobnych rad dla realizatorów programów reklamowych w telewizji. Tak więc, przy reklamie ciast i tortów należy je przed pokazem pokrajać i z powrotem zestawić, aby przed kamerą tort gładko dzielił się na części. Reklamując piwo, należy uprzednio wrzucić do niego parę pastylek „Vichy", aby wystąpiła obfita piana. Bardzo światłe, rewelacyjne wskazówki, prawda? Ciekawe tylko, czy taka reklama pomaga?*

* * *

*Po „Znaku Zorro" zostało wspomnienie. Warto chyba jednak sobie przypomnieć, że w 1947 roku na ekranach polskich kin gościł amerykański film „Znak Zorro", wyprodukowany w 1940 r.*

# „CENA" - czyli
## *przepis na zły reportaż*

W telewizji niektóre tygodnie upływają pod znakiem teatru, inne — filmu, jeszcze inne — pod znakiem publicystyki. Ostatni tydzień nie wyróżnił się niczym specjalnym. O, przepraszam. Reportaż A. Kamińskiego wyraźnie utrwalił się w pamięci. Niestety, wbrew pozorom, jako żenująco słaby.

Polska przyjęła w sierpniu siedemdziesięciu ciężko rannych żołnierzy algierskich. Przebywają oni na leczeniu w warszawskich szpitalach. Nic dziwnego, że Telewizja postanowiła nie przepuścić podobnej okazji, i dlatego właśnie obejrzeliśmy reportaż z sali szpitalnej, zatytułowany „Cena".

Temat znakomity. Aktualny, polityczny, zafrapował z pewnością wielu telewidzów. I oto, jak go nam przedstawiono:

Pierwszą sekwencją po zapowiedzi spikera było zbliżenie twarzy człowieka, który mówi coś w obcym języku do słuchawki telefonicznej (białej). Trwa to dosyć przydługo, nagle urywa się, i na ekranie telewizora wyskakuje tytuł: C E N A. Później następuje skadrowanie sali szpitalnej, pana w kitlu lekarskim i kilku uśmiechających się pielęgniarek. Pan w ich asyście przechodzi od łóżka do łóżka, odczytuje z karty chorobowej nazwisko, wiek, oraz przypadek chorobowy pacjenta. Po tej prezentacji jeden z pacjentów śpiewa algierską melodię, a pani, również w białym kitlu, mając za podkład mruczando pacjenta, wygłasza komentarz nastrojowym głosem, że to są bohaterzy, że w pierwszym dniu wolności opuścili ojczyznę, że znajdują się wobec tego daleko od niej, że jedyną więzią z ojczystym krajem jest właśnie ten telefon — koniec komentarza, zbliżenie twarzy ze słuchawką telefoniczną.

Z kolei pan w kitlu lekarskim przeprowadza wywiady z rannymi żołnierzami w stylu streszczonym powyżej. Po czym, pani w białym kitlu, obejmuje ponowne prowadzenie audycji, i wyjaśnia telewidzom, skąd wziął się tytuł reportażu: „Cena". Pochodzi on stąd, co zresztą wykazały wywiady z żołnierzami algierskimi, że ceną ich bohaterstwa jest narażanie życia i te rany, które leczą w polskim szpitalu. Odkrywcze, prawda?

Jak to się stało, że podobny scenariusz został zatwierdzony i puszczony na antenę? Okazja była rzeczywiście duża, lecz waga poruszanego tematu, nie pozwalała aż na takie jego zlekceważenie. Na całe szczęście, algierscy żołnierze nie rozumieją po polsku. Musielibyśmy się wtedy mocno rumienić ze wstydu.

O.

Amerykanizacja życia postępuje u nas szybko naprzód. Przejawia się to głównie w sposobach reklamy. Oto bowiem urzeczone wdziękiem amerykańskiej reklamy Centrala Wynajmu Filmów oraz Miejski Zarząd Kin w Łodzi — wypuściły na miasto szereg ulotek z okazji Dni Filmu Polskiego.

Nie ulega wątpliwości, że ulotki cel swój osiągną. Zainteresują obywateli naszego miasta przede wszystkim kompromitującym stekiem bzdur i nonsensów, a także fatalną polszczyzną. Istnieje jednak obawa, że aktorzy, tak szeroko w nich reklamowani, wytoczą wydawcom kilka procesów o zniesławienie — albowiem treść tych ulotek dotyczy głównie niesmacznych plotek na ich temat.

Dowiadujemy się na przykład, że **„Andrzej Szalawski, przed wojną tylko Ignaś Pędzicki pośród „Dziewcząt z Nowolipek", dziś „doszedł do władzy"...** Ucieszeni tym faktem czytamy dalej: **„Jest poważny, postawny, tajemniczy... Spokój i dostojność jego postawy świadczą o głębokim, wewnętrznym przeżyciu roli".**

Dziwne to kryterium, ale na szczęście przeczy mu natychmiast następne zdanie: **„Jeśli nie wzruszy — na pewno zabawi!".**

Oddychamy z ulgą. Tym bardziej że ulotka głosi dalej ze wzruszającą bezpośredniością: **„Nie daj się nabrać, że to film przede wszystkim dla młodzieży!".**

Nie dam się nabrać, skoro przeczytam: **„Aleksander Fogiel, brzuchaty Maćko z Bogdańca zszedł niestety na złe drogi".** Istotnie, film nie dla młodzieży...

Podobnie, jak „Mój stary", jako że wystąpił w nim: **„Janowska i Lapicki w drażliwej sytuacji. In flagranti zastaniecie Janowską i Lapickiego w wytwórni filmowej".**

Ładna historia!

Tymczasem zaś **„Mitchell Koval szuka żony w Polsce. — powinno to zachęcić ewentualne kandydatki do zapoznania się z tym sympatycznym wielkoludem".** Zachęca, zachęca, ale do momentu przeczytania następnego zdania: **„Natomiast W. Siemion i K. Opaliński są już żonaci — mają za to nieporównanie bogatsze konto artystyczne".**

Oj, Koval się obrazi...

Autor ulotek informuje dalej: **„Ale szpary są, zajrzyjmy przez nie!".**

Zaglądamy i oto **„W. Gołas — oszałamia niemal wszystkich, poza Czyżewską na trapezie — tu w dwojakim znaczeniu za wysoki poziom".** Nie rozumiemy tego zdania nawet w pojedynczym znaczeniu. Przez szpary widać już jednak, jak **„Małpie numery odgrywa Gołas znakomicie, ale widzowie z ulgą przyjmują jego powrót do społeczeństwa".**

Kiepska to reklama. Więc miejsce na intymną plotkę: **W „Domu bez okien" rozwija się nić sympatii zawiązana między Czyżewską i Gołasem jeszcze w „Mężu swojej żony".**

Najbardziej użył sobie autor ulotek przy **„Spóźnionych przechodniach".**

**„Zobaczycie dwie autentyczne i jedną nieautentyczną parę małżeńską z aktorskiego świata".**

**„Gustaw Holoubek w najtrudniejszej życiowej roli nieszczęśliwego amanta... Nikt nie zgadnie ile wysiłku musiało go kosztować niezauważanie ślicznej Marii Wachowiak; pałającej doń bezgranicznym (o poezjo!) uczuciem... Plotki, że chciał p. Wachowiak wynagrodzić owego kosza z filmu faktycznym z nią ożenkiem nie należy brać zbyt serio. Maria Wachowiak już w „Pożegnaniach" wyglądała uroczo (czy obiecująco...)**

Ot, i proces (o poezjo!) gotowy. A tymczasem, piękną polszczyzną wypisano następne zdanie:

**„Kalina Jędrusik — gwiazda jak dotąd więcej telewizyjna, produkująca się ze śpiewem, bez śpiewu, z wyzywaniem i bez, zawsze utrzyma się u szczytu popularności w naszych zmysłowych czasach".**

No, to dobrze. Nasza gwiazda więcej telewizyjna może być spokojna. Nie w pełni jednak, bo **„Spóźnieni przechodnie" mogą z czasem stać się niejako pozycją albumu rodzinnego, z którego wyzierają pewne niedyskrecje".**

A to ci perspektywa... Nic dziwnego, że **„kto lubi czytać gazetę od końca i zatrzymuje się dłużej na ciekawostkach musi pójść na „Spóźnionych przechodniów".**

Tak oceniwszy poziom widzów, aktorów i reżyserów, twórca ulotek bierze się za pisarzy:

**„Zamiast ślęczeć nad nowelami (gatunek literacki mało popularny) zajrzyjcie na dwie godziny do kina, w którym ktoś inny doskonale wam owe nowele opowie".**

I tak dalej, i tak dalej. Wszystko byłoby piekielnie zabawne, gdyby nie to, że ktoś te ulotki napisał i ktoś otrzymał za to pieniądze. Ktoś je zatwierdził, ktoś wydał, ktoś rozprowadził po mieście, my zaś, wszyscy możemy je czytać.

## Piękne dziewczęta na łamy „ODGŁOSÓW"

Foto. W. Stachlewski

# CZY BĘDZIE AKADEMIĄ?

Jesienią bieżącego roku powstająca obecnie Rada Główna Szkolnictwa Artystycznego rozważać będzie projekt nadania praw akademickich wydziałowi reżyserskiemu i operatorskiemu PWSTiF.

W wypadku zatwierdzenia projektu, Szkoła przybrałaby nazwę Akademii. Łódź wzbogaciłaby się w ten sposób o czwartą uczelnię, posiadającą prawa akademickie. Akademia Filmowa, o ile taka powstanie, będzie jedną z nielicznych w kraju i na świecie szkół artystycznych z prawami nadawania stopni naukowych.

W ogóle po okresie sporów, prób likwidacji lub przeniesienia do stolicy, Szkoła Filmowa znalazła się obecnie w ustabilizowanej sytuacji, zdobyła sobie mocną pozycję. Nie myślimy w tej chwili o pozycji za granicą, bo tam Szkoła cieszy się wielkim uznaniem od dawna. Rzecz w tym — w myśl przysłowia — że najtrudniej stać się prorokiem we własnym kraju. Rok 1962 był na dobrą sprawę pierwszym w historii uczelni, kiedy nie czyniono na nią żadnych „zamachów".

Przy silnym poparciu władz miasta, udało się ostatnio załatwić definitywnie sprawę rozbudowy. Pałacyk przy ul. Targowej zostanie powiększony o duże skrzydło (kubatura 5,5 tys. m³). To rozwiąże doraźne kłopoty. Natomiast po roku 1965 rozpocznie się od podstaw budowa obiektu odpowiadającego w pełni potrzebom nowoczesnej Szkoły (a wówczas już na pewno akademii) filmowej.

Tych, którzy marzą o zawodzie reżysera czy operatora filmowego spieszymy zapewnić, że szanse na dostanie się do Szkoły — wzrosną. Przyjmowanie bowiem znikomej liczby kandydatów, jak to się dzieje obecnie, nie wynika z takich właśnie potrzeb naszych wytwórni filmowych, lecz jest zwyczajnie uzależnione od ilości miejsc w ateliers, ciemniach fotograficznych, a nawet salach wykładowych, którymi Szkoła dysponuje. Dość wspomnieć, że latem bieżącego roku wszyscy studenci znaleźli zatrudnienie jako praktykanci przy aktualnie kręconych filmach i sporo jeszcze zostało wolnych miejsc.

A przecież mamy nadzieję, że nasza kinematografia będzie się dalej rozwijać, przynajmniej ilościowo.

# PRZYTOMNOŚĆ

W pierwszej połowie ubiegłego tygodnia gospodynie domowe ze śródmieścia bezskutecznie szukały po sklepach margaryny. I w innych dzielnicach Łodzi nie można było jej dowoli dostać. Warszawskie Zakłady Przemysłu Tłuszczowego im. 15 Grudnia, w których jesteśmy na margarynowym garnuszku zmniejszyły produkcję w związku z niedoborami surowcowymi i w efekcie Łódź, konsumująca dziennie 11—13 ton margaryny, otrzymywała jej przez parę dni tylko po 5—7 ton. Aliści nieoceniony „Express" najwyraźniej w trosce o to, aby łodzianie nie odzwyczaili się w tym czasie od margaryny i nie przerzucili się na wyłączne spożywanie masła, zamieścił artykulik „Reklamy" pt. „Oszczędność jest hasłem dnia", w połowie poświęcony wychwalaniu owego szlachetnego tłuszczu roślinnego, usuwającego cholesterol. To się nazywa chodzenie po ziemi i przytomność.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PTPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 2637. IX. 62. A-6

# ODGŁOSY tygodnia

### CZEKANIE NA ERĘ

Były już różne ery: nowożytna, atomowa, kosmiczna. Zgodnie z ogłoszeniem Spółdzielni Pracy „Mechanik", która miast sputnika wypuściła w miasto ruchomy warsztat ślusarski, zaczęła się ponoć nowa era w usługach. Trzeba było więc całej ery, żeby uruchomić jakiś tam wehikuł. No cóż, pozostanie nam wzywać od czasu do czasu ów wehikuł i czekać aż w reklamujących się przedsiębiorstwach zacznie się era myślenia.

## *Felieton scentyka*

# RZECZPOSPOLITA ZAPŁACI?

*Zdawało mi się dotąd, że wolnokonkurencyjne, kapitalistyczne prawo „pieniądz robi pieniądz" działa u nas już tylko w sposób szczątkowy. Mniemałem tak świadom istnienia w ojczyźnie: niebieskich ptaków, pokątnych kupczyków, różnego kalibru lichwiarzy, no i przemytników doskonałych. Zdawało mi się wtedy, że aby pieniądz robił pieniądz nieodzowna jest czyjaś hochsztaplerska, prywatna inicjatywa. Otóż nie. Okazuje się, że u nas pieniądz może robić pieniądz i bez udziału tej ostatniej, niezgodnie z klasyczną formułą, a jak to się dzieje opowiem.*

*Obywatel Cz. G., pracując jako frezer w pewnych zakładach wełnianych, włożył był kiedyś do kieszeni fartucha roboczego cewkę. Zwykłą cewkę od frezarki za zł 33. Kiedy w pewnym momencie został nagle odwołany do awarii w innym zakładzie, nie w głowie mu były ani fartuch, ani kieszeń, ani cewka. Uprzytomniono mu wszystkie te akcesoria w portierni, posądzając o chęć kradzieży mienia społecznego wartości zł 33. Dyrekcja wściekła się i zarządziła dyscyplinarne zwolnienie pracownika Cz. G. Naturalną koleją rzeczy Cz. G., który nie miał zamiaru przywłaszczyć sobie cewki pozwał do sądu zakłady, które obeszły się z nim tak bezpardonowo. Sąd zbadawszy okoliczności sprawy uznał ewentualność, której nie była w stanie wyobrazić sobie dyrekcja, że Cz. G. mógł włożyć cewkę do kieszeni machinalnie, jak to się nieraz w toku pracy dzieje. Sąd uznał powództwo cywilne o odszkodowanie i zasądził od zakładów na rzecz Cz. G. zł 4.470, plus koszty procesu.*

*Obywatelka M. K. miała pensję miesięczną zł 827.— jako ekspedientka MHD. Zdarzyło się, że w sklepie, w którym pracowała, kierownik popełnił manko. Zwolniono dyscyplinarnie kierownika i obywatelkę M. K., mimo, że w manko palców nie maczała. Oczywiście i M. K. odwołała się do sprawiedliwości. Sąd orzekł, że MHD zwolnił z pracy ob. M. K. bezprawnie, to znaczy, że jej wcale nie zwolnił i stosunek pracy trwał jedenaście miesięcy, wobec czego zasądził na rzecz poszkodowanej zł 20.261.— plus koszty procesu.*

*Obywatelka I. S. była kasjerką w łaźni. Kiedyś zdarzyło jej się wydać amatorowi wanny bezpłatny bilet a pobrać zań zł 4. Dyrekcja postanowiła wyrzucić kasjerkę z kasy natychmiast i na zawsze. Obywatelka I. S. również wniosła sprawę do Sądu, który przyznał jej odszkodowanie w wysokości trzymiesięcznej pensji, czyli zł 3.300, plus koszty procesu.*

*Tak więc w pierwszym przypadku z 33 zł zrobiło się 4.470, w drugim z 827 — 20.261, w trzecim z 4 — 3.300, nie licząc kosztów sądowych.*

*Ponieważ już w relacji spraw owo „zrobiło się" jest mocno naciągane, porzucę teorię samorództwa pieniężnego i przejdę do nazywania rzeczy po imieniu.*

*Jak wiadomo, dyrektorzy i kierownicy przedsiębiorstw są i od tego, żeby angażować ludzi, jak i od tego, żeby ich zwalniać, kiedy im nie odpowiadają. Z tym, że ponieważ człowiek nie szafa, angażowanie, a zwłaszcza zwalnianie określają odpowiednie ustawy i przepisy. Tymczasem dyrektorzy i kierownicy przedsiębiorstw nader często i lekką ręką traktują ludzi jak szafy, korzystając z artykułu 2 dekretu z dnia 18. I. 1956 r. przewidującego zwolnienie pracownika ze skutkiem natychmiastowym, bez trzymiesięcznego wypowiedzenia. Niestety, czynią to naruszając inne przepisy tego prawa, zastrzegające, iż dyscyplinarne zwolnienie nastąpić może z ważnych powodów i za zgodą rady zakładowej.*

*Okazuje się, że ci, którzy w imię prawa zwalniają, sami prawo brutalnie łamią, przy czym ekonomiczny skutek ich praktyk jawi się cięższy niż przyczyna. Nie zawsze zresztą przyczyna jest rzeczywistą bądź pozorną szkodą materialną, wywołaną przez zwalnianego. Bywają preteksty jeszcze bardziej błahe, typu: jeden dzień nieobecności w pracy bez usprawiedliwienia, obraził (czytaj skrytykował) przełożonego, bądź nie wykonała jego poleceń.*

*Spośród 31 spraw tej kategorii, noszących najświeższą datę, jakie mam przed sobą (a jest to mała cząstka ogółu tych spraw), w połowie akt zwolnienia został dokonany bez akceptacji rady zakładowej, „na gębę", bądź bez podania zwalnianemu przyczyny na piśmie. Czyli w połowie spraw akt zwolnienia w sposób oczywisty był sprzeczny z prawem. W sposób oczywisty dla kogo? Dla Sądu, ale nie dla gromowładnych pracodawców.*

*Nie wiem, co tu bardziej waży, prywata, nieznajomość prawa czy też pogarda dla niego. Cokolwiek tu działa obserwujemy zjawisko paradoksalne i publicznie niezauważone. Straty skarbu państwa z powodu łamania prawa pracy idą w miliony. Nikt tego jeszcze dokładnie nie obliczył, ale skoro 31 spraw kosztuje ponad 164 tysiące zł wolno domyślać się milionów.*

*Oczywiście to dobrze, że prawo znaczy prawo i że pokrzywdzony obywatel otrzymuje w końcu satysfakcję moralną i materialną. Ale czy z punktu widzenia interesu społecznego a nawet samych satysfakcjonowanych te satysfakcje są tak bardzo pożądane?*

*Nie wiem, czy instynkt anarchizmu właściwy jest Polakom, ale wiem, że nazbyt jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że Rzeczpospolita zapłaci. W związku z nadużywaniem prawa pracy przez Osoby Stojące na Czele muszę zapytać: a dlaczego Rzeczpospolita ma zawsze płacić? Noblesse oblige, czy nie powinni płacić sami ci, którzy zachowują się jak udzielni książęta i panowie na zagrodzie?*

*SCEPTYK*

PS. „W sprawach, w których zapadły wyroki zasądzające odszkodowanie, a naruszenie prawa było oczywiste, Prokuratura wystąpi z wnioskami o pociągnięcie do odpowiedzialności materialnej kierowników zakładów pracy i innych pracowników administracji, którzy rozmyślnie lub wskutek niedbalstwa albo lekkomyślności narazili uspołeczniony zakład na szkody spowodowane sprzecznym z prawem rozwiązaniem stosunku pracy lub innymi bezprawnymi czynnościami".

*Ze Sprawozdania Prokuratury Wojewódzkiej dla m. Łodzi, Wydział I).*

**PZU!**
przypomina.
**dla ubezpieczenia SIEBIE - MIESZKANIA**
*telefonujcie* **455-10** *wew.* **40**
**Łódź, al. Kościuszki 57, pokój 2**
4505/k